Rok 3. Kraków, dnia 20 Maja 1884 r. Nr. 9 i 10.

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

Księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie

wydała oraz otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Anczyc Wł. Dzieje narodu węgierskiego popularnie opisane z rycin. —·40

Asnyk. (E-ly) Cola Rienzi; dramat historyczny z XIV. wieku w 5-ciu aktach oryginalnie napisany cena 2 zlr. zniżona 1·—

— Trubadurowie. Kraków 1872. —·20

Bajron. Don-Żuan w haremie, tłum. Edward Porębowicz. Kraków 1882 —·30

Bartoszewicz Juljan. Historya literatury polskiéj, wydanie 2 pomnożone i tańsze. — Kraków 1878. 2 tomy 5·—

— Historya pierwotna Polski, pierwsze wydanie z rękopisu 4-ty. Kraków 1879. 14·—

— Szkice z czasów saskich. Wydanie 1. Kraków 1880. Treść:

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia. Grandmuszkieterowie Augusta II. Kampement w Warszawie. 1732. Sprawa Karwickiego. Pan Bystry. Dzieje niewiasty polskiej. Koronacje obrazów świętych. Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konfed. Barskiej. Karol XII. w Warszawie w roku 1702. Warszawa w r. 1705. Ks. Wincenty Santini, nuncyusz w Polsce. 1721—1728. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w roku 1706. 3·50

— Studja historyczne i literackie. Wydanie 1-sze. Kraków 1881.

Treść tomu 1-go: Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagiellończyka. Stary poemat o Gdańsku. Krystyna Poniatowska (przyczynek do dziejów braci Czeskich w Polsce). O nuncjuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława Augusta. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 r. O nowem wydaniu sag skandynawskich. Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie. Kronika pałacu Krasińskich. Podróż Regnarda po Polsce. O bibliji reimskiej. Mikołaj Jemiołowski jako historyk. 3·50

Treść tomu IIgo: Elekcja Michała Korybuta. Księga kapturów rzeczyckich. O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie i Połowcy. Ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki. Starania domu Rakuskiego w XVI. wieku dla pozyskania korony polskiej. Kasztelanja Połaniecka Kochanowskiego. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalji 1674 = 1676. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. Konstanty Swidziński i jego wieczysta fundacja. Hetmaństwo. Teatyni w Warszawie. 3.50

Treść tomu III-go: Warszawa i Kraków, jako stolice. Jan S. Jabłonowski i jego dzieło: Skrupuł bez skrupułu. Prawo o elekcji. Bitwa pod Beresteczkiem. Księga protokółów franciszkańskich prowincji ruskiej. Mazowsze-Mazury. Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej. Co znaczyła i gdzie była Ukraina? Anna z Sapiehów Jabłonowska. Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem Kozaczyzny. Kniaziowie i Książęta w Polsce. 3·50

Cena 3-ch tomów razem 10,50

Bartoszewicz Juljan. Anna Jagiellonka, 2 tomy razem Kraków 1882. 3.50

— Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce, wydanie 1-e Kraków 1880. 4·—

— Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, Wojewody Mińskiego. Warszawa 1862. 2·50

— Kniaź i Książę. Kraków 1876. — 60

— Zamek Bialski, historya miasteczka, obrazy z życia magnatów. 1881. Lwów 2·25

Bartoszewicz K. Małpa - człowiek, nieznana satyra z XVIII. w. (odbitka z Ateneum) —·50

— Życie Jana Kochanowskiego, treściwie zebrane Kraków 1883. —·20

— Dwadzieścia kronik Przeglądu literackiego i artystycznego. Kraków 1883. —·80

Bełcikowski. Wieczór w Czarnolesiu, scena liryczna Kraków 1882. —·20

Beranger. Piosnki w tłumaczeniu L. Kozłowskiego (w druku).

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów. Puławscy. Lwów. 1869, cena 3 zlr. zniż. na 1·50

Buliński. Historya kościoła polskiego 3 tomy. Kraków 1873. cena 12 zlr. zniż. na 6·—

Buszczyński. Ameryka i Europa, studium historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem. Kraków 1876. cena 5 zlr. zniż. na 2·50

— Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883. —·50

Chołoniewski ks. Pisma pośmiertne 2 tomy. Lipsk 1854 cena 5 zlr. 40 ct. zniż. na 1·20

Dzieduszycka Anastazja. Listy nauczycielki. Kraków 1883. 1·—

Dzieduszycki Izydor Dr. Patrjotyzm w Polsce. Kraków 1882 i 1883, 2 części 1·—

Dzieduszycki hr. Maurycy. Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego arcybisk. lwowskiego. Kraków. 1868 cena 2 zlr. 40 ct. zniż. na—·80

Flaubert Gustaw. Córa Hamilkara (Salambo). Kraków 1867 (na wyczerpaniu) cena 2 zlr. 50 ct. zniż na 1·—

Grudziński St. Idealista, poemat fantastyczny. Kraków 1871 cena 60 ct. zniż. na—·20

Heisig. Przewodnik do rysunku cyrklowego i linijnego, jako wstępna nauka do geometryi wykreślnej, rysunków architektonicznych i t. d. Kraków 1875 cena 2 zlr. 40 ct. zniż. na 1·20

Hoflmann A. W. Wstęp do nowoczesnej chemii, przetłómaczył z 5 wydania niemieckiego L. Masłowski. Kraków 1875 cena zl. 3.50 ct. zniżona na 1·50

Dr. Jordan. Nauka położnictwa dla użytku położnych 2 tomy. Kraków 1879 (na wyczerpaniu) 4·—

Kasprzycki. Geografia początkowa cena 75 ct. zniż. na—·30

Kraszewski-więzień i Niemcy Kraków 1883 —·30

Kochanowski Jan. Pieśni i treny. Kraków 1883 —·50

— Fenomena, Muza, Satyr, Monomachja. Kraków 1883 —·40

— Odprawa posłów greckich, Szachy, Dziewosłąb, Zuzanna, Broda, Marszałek, Zgoda, Epitalamium, Proporzec, Wtargnieniedo Moskwy, Pamiątka. Kraków 1883 —·50

— Fraszki. Kraków 1883 —·40

— Fragmenta, Wzór pań mężnych, Wróżki, O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Apoftegmata. Kraków 1883 —·30

— Psałterz Dawidów. Kraków 1883 —·80

— Rymy łacińskie w tłomaczeniu Brodzińskiego i Syrokomli. Kraków 1883 —·80

— Dzieła. Wydanie kompletne w 4-ch tomach, zawierające wszystkie pisma polskie Kochanowskiego, oraz dzieła łacińskie w tłomaczeniu Syrokomli i Brodzińskiego. Wydanie uznane za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, z dodaniem życiorysu, facsimile i portretu poety podług pomnika w Zwoleniu. Kraków 1882 3·20

— toż samo w oprawie w płótno ang. 4·80

Koziebrodzki. Klaudja, dramat. Kraków 1871 —·40

Krasicki Ignacy. Bajki i przypowieści. Kraków 1883 —·20

KATALOG
WAŻNIEJSZYCH PISM POLSKICH

na które prenumeratę przyjmuje księgarnia

K. Bartoszewicza.

Tytuł pisma	Prenumerata w Krakowie						z przesyłką w całem państwie austryackiem					
	kwartalnie		półrocznie		rocznie		kwartalnie		półrocznie		rocznie	
	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.
Ateneum	—		10		20	—	—	—	10	60	21	20
Biblioteka najc. utworów	2	—	4	—	8	—	2	15	4	30	8	60
„ warszawska		–	7	50	15	—	—	—	8	40	16	20
Biesiada literacka	2	—	4	—	8	—	2	30	4	60	9	20
„ „ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	3	·	6	—	12	—
Bluszcz	2	75	5	50	11	—	3	50	7	—	14	—
„ z dod. mód kolor.	4	75	9	50	19	—	5	40	10	80	21	60
Echo muzyczne	2	50	5		10	—	3	15	6	30	12	60
Gazeta lekarska	—	—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
„ rolnicza	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Gospodyni wiejska	2	50	5		10	—	2	80	5	60	11	20
Głosy	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
… bibl. najc utworów	5	30	10	60	21	20	6	30	12	60	25	30
[illegible]	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
…inna	1	65	3	30	6	60	—	—	4	—	8	—
[illegible]		—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
[illegible]	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
[illegible]	3	—	6		12	—	3	30	6	60	13	20
…nik		—	5	—	10	—	—	—	5	70	11	40
…gląd katolicki	2	10	4	20	8	40	2	40	4	80	9	60
„ lekarski	2		4	—	8	—	2	20	4	40	8	80
„ lwowski	2	60	5	—	10	—	—	—	—	—	–	—
„ polski	4	--	8	—	16	—	—	—	—	—	--	—
„ techniczny	—		6	65	13	30	—	-	7	—	14	—
…ewodnik bibliograficzny	—	28	—	50	1	—	—	34	—	62	1	24
„ nauk i literacki	1	25	2	50	5	—	—	--	—	—	—	—
…yjaciel dzieci	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Przyroda i przemysł	2	50	5	-	10	—	2	75	5	50	11	—
Tygodnik illustrowany	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ powszechny	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ rolniczy	2	-	4		8	—	2	75	5	50	11	—
„ romansów i powieści	1	40	2	80	5	60	1	60	3	20	6	40
„ „ z Bil. naj. utw.	3	40	6	80	15	60	4	—	8	—	16	—
Wędrowiec	2	—	4	—	8	—	2	25	4	50	9	—
„ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	2	90	5	80	11	60
Wieczdry rodzinne	1	65	3	30	6	60	1	90	3	80	7	60

Księgarnia przyjmuje prenumeratę i na wszystkie inne …asopisma polskie i obce, z wyjątkiem pism codziennych.

…rnia K. Bartoszewicza nabywa I-szy i 3-ci Nr …glądu“ z r. 1882 po 30 ct. za egzemplarz.

Od d. 1 Lipca 1878 r. wychodzi w Krakowie pod redakcya Dra Władysława Wisłockiego, kustosza biblioteki Jagielońskiej.

„PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY“

miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jakoteż czytających i kupujących książki. Każdy Numer w objętości $^1/_2$ — $1^1/_2$ arkusza druku w zwykłej 8ce, 49 wierszy (61 petytowych) wysokiej, zawiera trzy działy: 1. Bibliografię właściwą bieżącą; 2. Kronikę; 3. Ogłoszenia czyli inseraty księgarskie, drukarskie i t. p.

WARUNKI PRENUMERATY:

całorocznie	1 złr.,	z przesyłką	1 złr.	24 ct.
$^1/_2$ „	50 cnt.,	„	—	62 „
$^1/_4$ „	28 „	„	—	34 „
$^1/_{10}$ „	10 „	„	—	12 „

Opłata od ogłoszeń za każdą $^1/_{10}$ część strony 50 cent., za całą stronnicę czyli 61 wierszy petytowych 5 złr.

Prenumeratę w gotówce i wyraźnie pisane ogłoszenia przesyłać należy za pośrednictwem księgarń krajowych i zagranicznych najdalej do 20 każdego miesiąca, albo do księgarni **G. Gebethnera i Spółki** w Krakowie, albo wprost do redaktora „Przewodnika bibliograficznego“.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca **Jan Blaschke.**

W drukarni A. Kozińskiego.

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dziela w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— toż samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25

Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—

Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zl. 50 ct. zniżona na—·80

Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·50

Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zl. 20 ct. zniżona na—·60

Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1867 2 tomy 4 złr. zniż. na 2.50

Niemcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25

Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50

Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 złr. zniżona na—·50

Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75

Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— toż samo w eleganckiej oprawie 1·—

Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60

Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882—·60
— toż samo w oprawie —.60

Rovani Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)

Sabowski Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75

Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rycinami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 złr. 20 ct. zniż. na—·5

Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—

Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.4

— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·4
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882.—
— Balladyna. Kraków 1882. —
— Beniowski. Kraków 1882. —
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —
— Dziela Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające toż samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz" Kraków 1882 cena 4
— toż samo oprawne w płótno angielskie 6·—

Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20

Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30

Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 złr. zniżona na 1·5

Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 złr. zniżona na 1·0

Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastosowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższych szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zl. zniżona na 1 złr. 50 ct. dwie części 3·—

Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 złr. 40 ct. zniżona na—·8

Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła rusk[illegible] Lwów 1881.

Ziemiałkowski Florjan. życiorys z portretem. Kra[illegible] 1883.

Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —

Żółkowski. Momus. Kraków 1883 —
— toż samo w oprawie 1·

Rok III. Kraków, dnia 20 Maja 1884 r. Nr. 9. i 10.

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.

W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Cena pojedynczego numeru 30 cnt.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

WIOSENNE GŁOSY.

Es ist der Wald aus seinem Traum erwacht,
Es steht das Feld in neuer grüne Tracht,
Die ganze Welt ist voller Glanz und Pracht
Hoffman v. Fallersleben.

— Znacie tę bajkę?
Wszyscy: Znamy! Znamy!
— Więc posłuchajcie...
Fredro.

I.

Już znikło koło
Brzemiennych chmur,
Słońce wesoło
Błyska zza gór...
Śniegi stopniały,
Popłynął lód —
I znów wspaniały
Lśni błękit wód.

W zieleń się stroi
Ziemia i las,
A wzrok się poi
Wdziękami kras...
Jak sięgnie oko
Nad szczyty gór,

Płynie wysoko
Żurawi sznur.

W chmurach, gdzie drzemie
Piorun i grzmot,
Skrzydlate plemię
Kieruje lot...
Już znika brudna
Zimowa pleśń
I wszędzie cudna
Rozbrzmiewa pieśń...

Radosne głosy
Powtarza bór,
Echo w niebiosy
Roznosi wtór...

W błękitach ginie
Melodji ton —
I cicho płynie
Przed Boży tron!...

II.

Ożywcza siła
Z snów upowicia
Już pobudziła
Ziemię do życia.

Matka — przyroda
Z długiego snu
Budzi się młoda
W wiosennym dniu...

Stroi się w kwiaty,
Skarby otwiera —
Z szmaragdów szaty
Na się ubiera.

Tajemnie, skrycie
Słoneczny żar.
Wlewa w nie życie
Urok i czar!..

. . . .

Gdy gwiazdy złocą
Błękitu tonie —

Fijołki nocą
Roznoszą wonie...

Pierwiosnek biały
W wieczorny zmrok,
W niebo nieśmiały
Podnosi wzrok...

Cicha pieśń płynie,
Wietrzyk powiewa,
W leśnej gęstwinie
Chór ptasząt śpiewa:

„Skarby i blaski,
U waszych nóg,
Na dowód łaski,
Rozesłał — Bóg!“

III.

Pieśń płynie w dal:
Wiosna — już wiosna!
I wieść radosna
Mknie z biegiem fal...

Skowronek w górze
Piosnkę wydzwania
Na cześć naturze
W dniu zmartwychwstania!

KRONIKA.

Od kilku tygodni sławetni obywatele głównego, królewskiego, stołecznego miasta Krakowa stali się nadzwyczaj uprzejmymi. Najwyższej godną pochwały jest ich grzeczność, połączona z wygórowaną delikatnością i z tym odcieniem serdeczności, co to podbija i zniewala. Nie dalej np. jak wczoraj jeden z profesorów uniwersytetu, tolerujący zaledwo dotychczas moje znajdowanie się na tym padole dodatkow do podatków, spotkawszy mnie na ulicy pierwszy odsłonił niebotycznej uczoności łysinę, łącząc z tym ruchem słodki uśmiech przyjaźni. Jeszcze większego zaszczytu doznałem onegdaj w ogrodzie strzeleckim, adwokat bowiem Zdzieralski swoim własnym kosztem postawił przedemną szklankę piwa johnowskiego, a radca Pantofliczek, ująwszy mnie pod ramię wtajemniczał moją kronikarską osobę w stan majątkowy i wartość duchową swojej siostrzenicy, dając do zrozumienia, iż gdyby kodeks karny wykreślił wsteczny paragraf o dwużeństwie, z przyjemnością przyjąłby mnie do grona swej rodziny. Również godnym podniesienia jest fakt, iż wszyscy moi bliżsi lub dalsi znajomi, będący obywatelami państwa austrjackiego i mający skończonych lat trzydzieści, od pewnego czasu są bardzo troskliwi o zdrowie pani kronikarzowej i zachwycają się pięknością i rozumkiem małych kronikarząt.

Zauważyłem jednocześnie u krakowian niezwykłe zainteresowanie się sprawami publicznemi, a zwłaszcza dobrem miasta. Każdy prawie myśli o podniesieniu przemysłu, o zaprowadzeniu targów na rogatych i nierogatych towarzyszy człowieka, o kanalizacji, o wybudowaniu teatru, o wodociągach, o upiększeniu miasta, oświetleniu elektrycznem i o systemie Tallarda. Zgoda wreszcie na wszelkie projekty jest tak wielka, iż kiedy zaproponowałem w pewnem towarzystwie zbudowanie w Krakowie przystani morskiej, wszyscy jednomyślnie uznali myśl moją za świetną, godną poparcia i przyrzekli wpływami swojemi skłonić delegacją do podniesienia tej sprawy w Radzie państwa i przeprowadzenia jej pod zagrożeniem zerwania z szczęśliwie nam obecnie panującym c. k. rządem. Uszczęśliwiony takim obrotem rzeczy napomknąłem o potrzebie subwencji krajowej i państwowej na wydawnictwo «Przeglądu lit. i art.,» co wzbudziło prawdziwy zapał między słuchaczami i uznanem zostało za conditio sine qua non lojalnego zachowania się kraju.

Uprzejmość ta i grzeczność stały się do tego stopnia zaraźliwemi, że niedalej jak wczoraj spojrzawszy przypadkiem w lustro, uczyniłem machinalny ruch ręką ku głowie i z całą uniżonością zawołałem: moje uszanowanie panu dobrodziejowi.

Co za przyczyna tego niezwykłego objawu — trudno mi wyrozumować. Ludzie złośliwi, do których serc uczucia wyższe nie mają żadnego przystępu, posądzają szlachetnych mieszkańców naszego grodu o bezwstydną obłudę, o ubieganie się jakoby za

Znany to śpiew:
„Człek ziemię orze —
Błogosław Boże
Wiosenny śpiew!

„Ażeby marną
Nie była praca,
Niechaj się ziarno
Stokrotnie wraca!“

Prośby twej ton,
Ptaszyno droga —
Zjedna u Boga
Obfity plon...

Pod wpływem ciepła
Zbudzi się życie
I ziemia skrzepła
Zrodzi obficie.

Pracę i trud
Bóg błogosławi,
Więc nie pozbawi
Nas chleba — głód!..

Ukryte w ziemi
Przyszłości losy —
Kiedyś złotemi
Wystrzelą kłosy...

IV.

Zaszumiał bór
I wieniec chmur
Słońce czerwone
Tuli w zasłonę —

Gną się drzew szczyty,
Wicher się zrywa,
Niebios błękity
W kir przyodziéwa...

Wiatry szaleją,
Gasną promienie —
I z chmur się leją
Deszczu strumienie...

Swiat w ogniu płonie,
A ziemia chłonie
Ożywczy dar
Z niebieskich czar!
. . . .

Słońce z za mgły
Otrząsa łzy:
Ziemia spragniona
Już odmłodzona...

I widok nowy
Się rozprzestrzenia:
Lśni łuk tęczowy
W znak przebaczenia...

W blaskach purpury —
Nad traw zielenią,
Upadłe z chmury
Perły się mienią...
. . . .

W światła powodzi
Słońce zachodzi —
Wszechwładną moc
Rozciąga noc...

V.

Traw bujnych morze
I kwietna błoń
Roznoszą woń
W wieczornej porze.

W tkane gwiazdami
Pyszne namioty
Księżyc czasami
Wkradnie się złoty —

Snopem promieni
Zmąci kryształy
I wśród chmur cieni
Zanika cały...

A las rozbrzmiewa
Ptaszęcym śpiewem —
Echo się zlewa
Z wiatru powiewem,

I rozgłośnemi
Hymny radości
Na całej ziemi
Brzmi pieśń — miłości!..
. . . .

Niebo ściemniało,
Księżyc zapada,
Przyrodę całą
Już sen owłada...

Swiat wypoczywa
Po dziennym znoju —
Na ziemię spływa
Anioł — pokoju...

A gdy noc zginie
Znów zabrzmi gwar
Miłosnych par
W leśnej gęstwinie..

VI.

Od wiecznych lat
Wciąż tak się dzieje —
Stare, jak świat
Wiosny koleje.
Swięcąc raz w rok
Dzień odrodzenia,
Ziemia co krok
Postać swą zmienia.

A każdy rad
Z wiosny rozkwitu,
Patrzy na świat
Pełen zachwytu.
Czując, że chrzest
Ziemi weselny
Cudowny jest,
Bo — nieśmiertelny!..
. . . .

Tak mija czas,
I płyną lata...
Każdego z nas
Czeka zapłata...
Jak kto na dług
Swój zapracował —
Zasługi Bóg
Mu porachował.

Kto kochał brud
I złe nałogi,
Ten za swój trud
Pozbiera — głogi...
Ale kto siał
Cnotę prawdziwą,
Ten będzie miał
Obfite żniwo...

Zwiniacz 1884.

Edmund Rossowski.

Z MIŁOŚCI.

BALLADA, JAKICH WIELE.

przez

Teodora Jeske-Cholińskiego.

Dokończenie.

— Twardy mam łeb? — mruknąłem — ha, ha, ha, żelazny — i zaśmiałem się ochrypło, złowrogo.

Przestraszyłem sam tego śmiechu. Może oszalałem? Dotykam palcami oczu, nosa, włosów. Wiem gdzie się znajdują i jak się nazywają, więc jestem jeszcze, zdaje się, przy zdrowych zmysłach.

Ale ten śmiech chrapliwy wydobywa się z głębi mego gardła ciągle, jakgdyby ktoś we mnie siedział i szydził ze mnie. Obawiam się siebie samego, uciekam przed sobą. Wpadam na rynek, staję przed jakimś wielkim domem. Tam bawią się koledzy moi, piją, grają w karty, opowiadają sobie przygody dowcipy przeróżne.

Nie wiedząc, co robię, wchodzę do hotelu, do sali.

— Dobrze, że przyszedłeś, chodź, siadaj, braknie nam właśnie czwartego — mówi jeden z inżenierów.

popularnością z powodu nadchodzących wyborów połowy rady miejskiej. Przypominają oni, że tak było przed trzema laty, przed sześciu, przed dziewięciu itd. Jeden z nich, najwyraźniej nihilista, utrzymywał, że za trzy lata Dr. Jordan będzie tak słodki jak malaga i postawi cztery Lille Wenedy na plantacjach, dwie Balladyny na Małym Rynku i dwunastu apostołów przed Sukiennicami.

Z oburzeniem odpychając te podejrzenia anarchistów i malkontentów, muszę jednakowoż zaznaczyć niesłychane roznamiętnienie umysłów wybierających i wybranymi być chcących. W dzień powołania «mężów zaufania» do komitetu przedwyborczego dowodził mi jakiś pan Korek czy Obcas (nazwiska sobie dobrze nie przypominam), że w razie przejścia listy «reformistów» ukaże się na niebie krzyż czerwony, zapowiadający cały tuzin klęsk wielkich, przechodzących swą okropnością siedm plag egipskich i katastrofę w Krakatoa, którą z tego powodu «Czas» tak szczegółowo opisywał. Tegoż samego dnia pan Petarda czy Bomba (również nazwiska sobie dokładnie nie przypominam) przysięgał się na wszystkich świętych liberalnych, iż w razie zwycięztwa «baraniarzy» i «czasowników» zaprowadzoną zastanie w Krakowie święta inkwizycja, skazująca na stos każdego kto nie wierzy w pana Pawła Popiela, profesora hrabiego doktora Tarnowskiego, w dra Jordana i pana Świeczkę, najmłodszego męża stronnictwa. Trwoga mną owładnęła, nie poszedłem wcale na wybory, a dowiedziawszy się o ich wyniku, to jest o zwycięztwie listy excellencyjno-dyrektorskiej, szeptałem tylko ułożone na tę okoliczność wyznanie wiary:

«Wierzę w pana Pawła Popiela wszechmogącego, stworzyciela stańczyków i w Stanisława Tarnowskiego syna jego jedynego, hrabiego i pana naszego, który się począł ze Stanisława Koźmiana, narodził się z Aleksandra Wielopolskiego, umęczon pod Tadeuszem Romanowiczem, ukrzyżowan, umarł, ale nie pogrzebion. Wstąpił do piekieł (po drodze mu było), trzeciego dnia zmartwychwstał, wstąpił do Czasu, siedzi na prawicy Pawła Popiela ojca wszechmogącego, ztamtąd przyjdzie kadzić żywym i umarłym. Wierzę w Stanisława Koźmiana, w święty Czas powszechny, w «Baranów» obcowanie, schweiggeldów odpuszczenie, głupstwa zmartwychwstanie i w szwindel wieczny Amen.

Odtąd lżej mi się zrobiło i śmielej też spoglądam w przyszłość, zwłaszcza dowiedziawszy się o zwiększonej liczbie «mę-

Siadać i grać? Może wygram, choćby na lekarstwo mojej żony. Rozbłysły mi oczy nadzieją. A gdy przegrasz, czem zapłacisz? Wstyd; hańba! Zbladłem, jak kreda, ktorą jeden z kolegow robił już na zielonym stoliku znaki i przegródki.

— Siadaj! — proszą.

Może wygrasz? A gdy przegrasz? Na lekarstwo. Czem zapłacisz? Boże, Boże, dopomóż mi...

— Jesteś widocznie czemś zmęczony i rozsmucony. Siadaj i zabaw się z nami — nalegają.

Zabaw się? Żonę mam chorą, ona czeka na lekarstwo, pożyczcie mi kilka marek, dwie, jednę, tylko jednę — błaga serce moje, ale usta milczą.

Już mnie posadzili na krześle, już rozdali karty. Stołek był zimny, ale mnie palił, karty były gładkie, ale mi ręce raniły.

Ha, może wygram. As, krol, dama, znów as, krol, dama, karty idą, pochłaniam je oczami, drżę na całem ciele.

— Pik! — wołam.

Koledzy spoglądają na mnie zdziwieni. Dlaczego on tak krzyczy? myślą sobie.

— Pas...

— I ja!

— Ośm pik!

Dzika radość ogarnia mnie. Wygram, wygram na lekarstwo dla mej żony.

— Pierwsze koty idą za płoty — odzywa się ktoś z flegmą, gdy wziąłem przepisane lewy.

Rzeczywiście. Pierwsza wygrana obałamuciła mnie. Ryzykuję ciągle, licytuję. Karta idzie mi, ale ja nie uważam, nie skupiam myśli na grze, więc zmazuję liczby, ale dopisuję co chwila nowe. Straciłem już obrachunek, nie wiem czy jestem wygrany, czy też odwrotnie; ręce moje drżą, a ciało kąpie się to w zimnym, to gorącym pocie. Zmiłujcie się nademną! Rwą się we mnie nerwy, serce mi pęka. Czy widzicie, że umieram, że konam z wzruszenia? — mówią oczy moje.

Ale koledzy nie domyślają się niewymownej boleści, ktora mi wnętrzości pożera. Im zdaje się, że mnie namiętność do gry uniosła, przeto zmawiają się przeciw mnie, i bawią się moją nieuwagą.

— Śliwiński kocha się jeszcze snać w swej żonie, kiedy nie wie, co robi — prawi jeden z towarzyszów.

— Rzeczywiście, kocham się — odpowiadam, zgrzytnąwszy ni. Coż w tem dziwnego? Dziewięć bez atu!

— Ej, bo będziesz leżał!

— Dziewięć bez atu! — powtarzam.

Nie leżałem. Rzuciłem karty na stół, bo moje dziewięć skończyły pulę.

Gdy się koledzy zabrali do obliczenia, oparłem głowę na dłoni i przymknąwszy powieki, przysłuchiwałem się cichemu szmerowi szepczących. Nie miałem odwagi spojrzeć na własne liczby, nie będąc pewnym ostatecznego skutku. Jeżeli przegrałem? Czułem, jak mnie śmiertelne ogarniały słabości. Widocznie mdleję. Podniosłem gwałtownie głowę; oni jeszcze liczyli. Prędzej, prędzej, na Boga prędzej, niech usłyszę wyrok, bo nie wytrzymam dłużej. Skróciłem sobie tą przeklętą grą życie i tak przynajmniej o lat dziesięć. Kończcie — miejcie litość czy nie widzicie, że mnie wstyd zabija?

— A to się Śliwiński wpakował? — przemówił jeden z kolegów.

Milczałem. Oddech zamierał mi w piersi.

— Gdyby był grał uważnie, byłby nas dziś do grosza obrał, bo miał szczęście, a tak zostały mu się tylko trzy złote.

— Wygrałem? — krzyknąłem tak głośno, że się koledzy moi cofnęli od stołu.

— Zmiłuj się, co się z tobą dzieje? — zapytał jeden z towarzyszow. Ty jesteś chory.

— O, przepraszam was, rzeczywiście, głowa mnie boli, wybaczcie, muszę wracać do domu — szepnąłem cichym, zmienionym głosem.

Wziąłem pieniądze, pobiegłem do apteki, kupiłem lekarstwo. Na progu czekała już na mnie kucharka.

— Masz, zanieś pani, spiesz się...

Wszedłem do ciemnego salonu i upadłszy na fotel, opuściłem głowę na poręcz. Co się potem ze mną działo, nie wiem. Zdaje się, że uległem wrażeniom przykrego dnia, że zemdlałem, czy zdrętwiałem. Gdy porządkowałem nazajutrz zarost głowy grzebieniem, wyczesałem wielki pęk spalonych włosów. Ba, było mi też wczoraj gorąco pod czaszką...

XV.

Pogodny dzień zimowy rozłożył się nad płaszczyznami, pokrytemi lśniącą oponą zmarłego śniegu. Równiny wschodnio-pruskie wyglądały, jak bezbrzeżne srebrne morze, roziskrzone w blaskach księżyca miliardami drobniutkich gwiazdeczek. Tu i owdzie wychyla się z białej pościeli czarna kępka: kilka drzew, kilka chat, lecz naokoło falowała dal, sina, błyszcząca, cicha.

Lubiłem ten krajobraz, jak kochałem niebotyczne góry i rozkołysany Bałtyk. Wszystko ogromne, czy rozmiarami przestrzeni, albo też potęgą mysli, działało na zbolałe me serce uspokajająco. Usypiało je. Wielkie smutki moje, których mi życie w ostatnim nie szczędziło roku, malały w obliczu milczącej w królewskiej powadze przyrody, schodząc prawie do zera. Czem-

żów zaufania» przez nowe a nieznane dotąd nabytki. Największą nadzieję pokładam w tym panu Knotku, Ogarku, czy Świeczce, ktory otrzymał trzysta głosów przy wyborze, a którego z pomiędzy wyborców nikt nie znał, boć podobno on sam nawet wyborcą nie jest. Nie będąc wyborcą i nie będąc znanym otrzymać głosów 300, danych przeważnie przez tak zwaną intelligencją — to świadczy o niepospolitem stanowisku i znaczeniu pana Knotka. Ponieważ zaś nie mogłem się dowiedzieć kto on zacz—upraszam przeto wtajemniczonych w szczegóły życia i stanowiska pana Ogarka, aby byli łaskawi powiadomić mnie o nich i podać jego adres, pragnąłbym bowiem panu Świeczce złożyć mój hołd najgłębszy i powinszowanie zaszczytnego wyboru.

Powinszowanie także należy się ks. Bismarkowi za pełne taktu i rzadkiej szlachetności wtrącenie się do procesu Kraszewskiego. W liście swoim dał on dowody tak bujnej fantazji i umiejętności przeprowadzania intrygi, iż serdecznie mu życzyć należy opuszczenia teki kanclerskiej i przerzucenia się na pole powieściopisarstwa. Pierwszy jego debiut wypadł wprawdzie słabo pod względem loicznym, ale posiadając tyle fantazji można się zczasem zdobyć na trochę loiki. Wielka szkoda, że niewiadomo gdzie się obracają sławni *estudiantina espanola*, możnaby ich bowiem poprosić o wyprawienie księciu żelaznemu tak zwanej przez nich serenady.

Powtarzam «tak zwanej serenady», gdyż w rzeczywistości panowie ci uprawiają w uszlachetnionej formie kocią muzykę. Czy znacie państwo drumlę? Znacie? — a więc kupcie sobie trzy drumle, dwa lub trzy duże grzebienie, dzwonek, parę cytr, kastanietę i wielkie cymbały, a będziecie mieli najoryginalniejszą orkiestrę hiszpańską, choćby nikt z was nie był nawet *estudiante en pharmacia*. Potrzeba prócz tego, aby jeden z muzykantów poskakał po dywanie, uderzając się tamburinem po przyzwoitych i mniej przyzwoitych częściach ciała, oraz aby wszyscy muzykanci zaśpiewali jaką piosnkę bez sensu i melodji, nie troszcząc się o takt, zgodność głosow, ani o nic podobnego, czego od chórów się wymaga. Publiczność krakowska mniej biegła w języku hiszpańskim nie rozumiała zapewne treści pieśni «Ole», przeto podaję ją w wolnym przekładzie z oryginału:

Tacy my studenci jak wy politycy,
Grywamy u siebie w szynku, na ulicy,

że jestem wśród kolosu, choćby ziemi tylko, czem są boleści moje w porównaniu z cierpieniami całej ludzkości? Drobny robaczek pełznie po piasku, mieniąc się podobnie tak samo, jak człowiek, rządcą stworzenia, a stopa mimo idącego wędrowca kładzie kres jego pysze.

I po mnie przeszedł los i zdeptał mnie jak gadzinę. Los? Skutki to własnych czynów moich pastwią się nademną, i zniszczą niebawem, bo czuję...

Nie, już nic nie czuję; wszystko obumarło we mnie; zresztą — wszystko mi już jedno.

Pan Krüger kazał mi iść w pole celem sprawdzenia kilku danych. Wziąłem robotników, narzędzia i czynię, co rozporządzono. Stoję na linji, rozpatruję się w około, szukam wzrokiem miejsc wadliwych, mierzę, liczę, poprawiam, niby automat. Popychałbym taczki, gdyby tego naczelnik zapragnął; kładłbym cegłę na cegłę, walałbym ręce wapnem, cementem, słowem — spełniałbym każdą, choćby najgrubszą robotę, byle nie siedzieć w biurze. Bo wśród czterech ścian błąka się myśl moja, jak oślepiony dziennem światłem nietoperz. Biegnie do okien, rani się o szyby, o mury, kołuje tuż pod sufitem, kaleczy sobie skrzydła, w końcu wraca do mnie, siada na mózgu moim i szarpie go, krwawi.

Tu mi lepiej. Tu spoziera na mnie niebo, takie przestronne i spokojne; tu opływają mnie fale przeźroczystego powietrza, takie czyste i lekkie. Mogę oddychać swobodnie i nie potrzebuję nic myśleć.

O, bo myśl jest tyranem moim od kilku miesięcy. Mści się ona straszliwie za kilka chwil nieopatrznych. W Warmbrunn nie myślałem nic, a za to myślę teraz ciągle.

W sam nowy rok uwidziało mi się, że mój syn nie potrzebuje już niańki. Liczył wtedy przeszło rok, zaczął chodzić, próbując słabych jeszcze nóżek i mówił: mama, tata!

Na co mu niańka? Dziewczyna kosztuje wiele pieniędzy, a matka nudzi się z braku zajęcia. Niech się opiekuje swem dzieckiem, a może ukocha ciszę domową.

Dwa tygodnie potem przysypywałem mego Witoldka piaskiem cmętarza. Matka nie dopatrzyła, chłopczyk przeziębił się i skonał na rękach moich, zaduszony błonicą.

Czy płakałem? Nie pamiętam już.

Wiem tylko, że rzuciłem się na malutką mogiłkę i przeleżałem na niej kilka godzin, na śniegu, chcąc się także śmiertelnie przeziębić. Przekleństwo! Nie nabawiłem się nawet marnego kataru. Rozpacz, trawiąca me wnętrzności ogniami wulkanu, ogrzewała widocznie całe ciało, nie przepuszczając zimna do środka.

A ona? O, Jadwinia płakała przez kilka tygodni, rwąc sobie włosy, bijąc głowę o mur. Wołała biedna: jam go zabiła!

A przecież nie ona spowodowała zgonu dzieciny. Wyszła tylko do miasta z jakąś wizytą, powierzając synka pieczy kucharki, a tymczasem wyczołgał się Witoldek na dziedziniec, niedostrzeżony przez służbę.

Nie winiłem żony; owszem — pocieszałem ją, utulałem, widząc jej szczerą boleść, ale na dnie serca mego zostało mimo to coś, jakby żal. To coś stanęło między mną a nią, oddalając nas coraz więcej.

Rosenthal dotrzymał słowa. Skarżył mnie do sądu i zyskał wyrok na sprzedaż mych gratów. Dziś miały pójść między ludzi z pod młotka komornika. Niech sobie idą, jeźli inaczej być nie może. Wszystko mi już obojętne...

Nie chciałem myśleć, a mimo to ustawałem często w pracy, posyłając niespokojny wzrok po linji aż tam, gdzie się szyny zdawały schodzić z sobą. Przeszłego bowiem lata, doprowadziliśmy budowę prawie do końca. Zrównaliśmy cały plant, przymocowaliśmy progi, rzuciliśmy relsy. Tylko mostki i przystanki czekały jeszcze na roboty murarskie.

Była to pierwsza droga żelazna, którą pomogłem budować. Ktoś inny byłby się rozkoszował pierwszem wcieleniem swej umiejętności, której poświęcił tyle lat młodego życia; ale moje serce nie rosło na widok tych czarnych linij, połyskujących na srebrzystem tle, niby tajemne szlaki oceanu, znane tylko żeglarzom. I one ginęły w szarej dali, tworząc na skraju widnokręgu prawie kąt ostry.

Słońce dobiegało właśnie do połowy swej codziennej wędrówki. Spojrzałem na zegarek i wyrzekłem do robotników: Spoczniemy godzinę; możecie pójść na obiad do najbliższej karczmy, ale spieszcie się z powrotem, bo wieczór zaskoczy nas niebawem.

Od kilku minut zaczęło się rzeczywiście szybko ściemniać, jak gdyby spadł nagły mrok, choć skazówka czasomierza wskazywała dopiero południe.

Przywykły jednak do zmienności pogody w ziemiach nadmorskich, nie zwracałem na to uwagi. Usiadłem na skrzynce, w której zamykaliśmy po pracy teodolit, oparłem łokcie na kolanach, wcisnąłem czoło w dłonie i świstałem sobie pod nosem jakąś piosenkę brukową. Chciałem siebie samego oszukać, przymuszając się do obojętności.

— Dlaczego nie idziecie? — zapytałem, widząc, że robotnicy, zamiast ruszać do wsi, oglądają się na niebo.

— Wolelibyśmy, żeby inżenier poszedł z nami — odezwał się Tramp, wierny mój giermek.

— Nie jestem głodny, — odparłem.

— Zdaje się, że z morza nadciąga gwałtowna burza.

Machnąłem ręką, mrucząc:

— Idźcie sobie do djabła, nic mi się nie stanie.

Chciałem być sam. Robotnicy namyślali się jeszcze przez

I wrzeszczymy czasem jak w żydowskiej [szkole
Ole!
Narodek krakowski jeszcze bardzo głupi,
Bo kto tylko zechce to go z grosza łupi,
Byle nędzny grajek wywiedzie go w pole...
Ole!

Jak widać panowie studenci hiszpańscy nie wynieśli dobrego przekonania o krakowskim narodzie, a nawet bardzo niegrzecznie i trywialnie o nim się wyrazili. Czy słusznie? — nie moja rzecz osądzić. Zdaje mi się jednak jakoby w tej niepochlebnej opinji było nieco przesady. Najwyższym szczytem mądrości jest przeświadczenie o własnem niedołęztwie umysłowem. Mądrości tej dali dowód niedawno nauczyciele szkół średnich krakowskich: w przekonaniu, iż nie mają pomiędzy sobą żadnego «głowacza», pożyczyli sobie na prezesa pana Bobrzyńskiego. Ciało złożone z młodych i starych professorów i nauczycieli, z których niejeden przez całe życie uprawiał teoretycznie i praktycznie pedagogją, w poczuciu swej nicości złożyło głowę przed jenjuszem pedagogicznym «naszego młodego niedouczonego.» Objaw to piękny, świadczący najchlubniej o niepodległości umysłowej naszych światłorobów, zwłaszcza, iż tenże sam p. Bobrzyński niedawno obszedł się z nimi w Przeglądzie polskim jak z żakami. Zastosowanie chrześcjańskiej zasady: ciskać chlebem na tego co rzucił kamieniem, uświetnia jeszcze więcej ten «czyn» panów nauczycieli i zaprzecza złośliwym insynuacjom studentów hiszpańskich.

Kiedy już mowa o uczoności pozwalam sobie zapytać się szanownych czytelników czy nie wiedzą przypadkiem kto jest korespondentem Biblioteki Warszawskiej podpisującym się No-No? Zdawałoby się napozór, że musi to być liberał czystej wody, kiedy śmiał wystąpić przeciw dyrekcji krakowskiego teatru, będącej widomą głową konserwatyzmu, tradycji, wiary przodków etc. I żaden też nihilista, żaden liberał, demagog, ateista, dynamiciarz, nie został tak wyklęty i zniweczony przez «Czas», znany organ porządku społecznego, jak ten pan No—No. Hugo Schenk był dla Czasu niewiniątkiem wobec tego przesiąkłego duchem rewolucji korespondenta. Z jakiemż przeto zdziwieniem przeczytałem w odpowiedzi redakcji Bibl. Warszawskiej, że korespondentem krakowskim jest mąż nauki i estetyk. Mężów nauki jak wiadomo mamy w Krakowie tylko dwóch: pp. Bobrzyń-

kilka chwil, potem udali się w stronę karczmy, rozprawiając coś głośno między sobą.

Gdy skrzypienie zmarzłego śniegu, sprawione posuwaniem ciężkich butów mych ludzi, zamilkło w dali, wcisnąłem twarz jeszcze mocniej w dłonie i przestałem świstać.

Tysiące myśli krzyżowało się po głowie mojej, przebiegając ją zygzakiem błyskawic, a każda z nich pytała ostatecznie: zkąd dostać pieniędzy? Przypomniałem sobie wszystkich znajomych, krewnych, lichwiarzów, kupców, ale trudziłem się daremnie, bo nie odkryłem żadnego nowego źródła. Byłem każdemu coś winien. Wprawdzie tworzyły wszystkie moje długi ogółem sumę tak małą, że kawalerem będąc, nie byłbym nawet o nich myślał; lecz człowiek żonaty nie może już liczyć na żadne przypadki, a musi mieć zawsze pieniądze, aby aparat domowy nie stanął.

Pieniędzy! wołałem teraz ciągle, bo znałem już wartość grosza, a kupię sobie za marny kruszec szacunek u ludzi, spokój własnego ogniska, uśmiech i miłość żony. Ostatnia myśl przebiegła po mem ciele strumieniem żółci.

Otrząsnąłem się, jak po wypiciu gorzkiego lekarstwa.

— Niestety, za wszystko trzeba płacić — szepnąłem — czy w takiej, czy w innej formie.

Ta świadomość złamała mnie do reszty. Skuliłem się na skrzynce z uczuciem topielca, nad którym się fale po raz trzeci zwarły. Niema ratunku.

A milczące dotąd powietrze zaczęło się nagle naokoło mnie ożywiać, budzić i zaludniać coraz głośniejszymi świstami. Wicher morski, znany mi druch od lat kilku, wył w gorze zrazu cicho, z lekka, jakby jęcząc, potem spadł nagle na doł, niby jastrząb i zawył, tańcząc po równinach, sypiąc na mnie pełne garście śniegu.

Nie podniosłem nawet głowy. Tańcz sobie, hulaj, stary włóczęgo; wszystko mi jedno, choćbyś i mnie zmiótł z tego świata i zaniosł w inne, lepsze krainy. Zmęczyłem się; chciałbym nie być.

A wiatr północny, jak gdyby słyszał moje pragnienie, zahuczał na gorze, zakręcił się i spadł po raz wtory, uderzając mnie skrzydłami swemi w samą pierś. Zatoczyłem się, musiałem się schwycić ziemi, aby nie upaść.

— Oho! Rozigrał się jegomość na dobre; nie pamiętam go już dawno w tak szatańskim humorze — wyrzekłem i zerwałem się na równe nogi.

Otwieram oczy. Noc! Pogodne niebo znikło za czarnemi chmurami; wiatr rozrywa twardy śnieg, szybuje nisko, tuż nad równinami, wyjąc, jakgdyby przeklinał.

Chcę się obejrzeć; nie widzę nic. Oczu nawet, otworzyć nie mogę, bo w tej chwili spływa z obłoków morze ostrych, kłujących igieł chłoszcząc mię po twarzy.

Zawieja śnieżna! Instynkt zachowawczy kazał mi natychmiast zapomnieć o pesymizmach i marzeniach o nicości.

Zawieja śnieżna! Wiedziałem, co to znaczy. To śmierć na pustem polu w ciemnym grobie, to wolne konanie w objęciach mrozu.

Chcę żyć! zawołał instynkt zachowawczy, zagłuszając w sercu mojem wszystkie inne troski. Uciekaj, uciekaj przed rozpasaną przyrodą, spiesz pod jakąkolwiek strzechę.

Uciekać? Dokąd? Nie widzę nic przed sobą: ani drogi, ani wsi; zapomniałem nawet, gdzie północ, a gdzie południe. Naokoło mnie huczy wiatr, straszą ciemności, a z góry sypie się lawina śniegu.

Jak zając, zapędzony w matnię, spuszczam głowę i biegnę przed siebie. Pędzę bez wytchnienia, pot leje się ze mnie, furja śmierci przypięła się do stóp moich i ściga mnie. Już siadła na mem ramieniu, już przechyla się do mnie, aby mi spojrzeć w oczy. Precz, precz odemnie, chcę żyć!

Ale już nie mogę. Nogi słabną, płuca przestają oddychać. powietrze zdaje się lodowacieć w mej krtani. Słabo mi — zatrzymuję się — zginam kolano — łamię się, jak uschła łodyga — przechylam się ku ziemi — padam.

Runąłem jak martwy głaz na śnieg i wyprostowałem się, zamknąwszy powieki. Nadmierne zmęczenie zabiło we mnie instynkt zachowawczy i już mi znów wszystko obojętne. Płyń na mnie śniegu i przykryj mnie, abym już nigdy nic nie widział. Chcę spocząć na wieki... znużyłem się życiem. W grobie niema ani wierzycieli, ani płaczących żon. Chcę umrzeć, pragnę się połączyć z moim synem. Śmierć moja uwolni Jadwinię, rozwiąże jej ręce, skute ślubem dozgonnym. Może wyjdzie jeszcze raz za mąż... bo...gato, może... bę...dzie... szczęśliw...sza... chcę... um...rzeć... dla... niej... dla... uko...cha...nej... mo...jej...

Myśl rwała się ciągle, w końcu ustała pracowna prządka. Co się potem ze mną działo, nie wiem. Zdawało mi się, że usnąłem.

Kiedy się przebudziłem, znajdowałem się w karczmie. Robotnicy moi nacierali mnie śniegiem i lali mi do ust wódkę. Gdy się zawieja zerwała, pobiegli na linję. Swiadomi dróg, odnaleźli mnie z łatwością, tem więcej, że biegłem przeszło godzinę w kółko i padłem opodal od miejsca pracy.

Ocalili mi życie, ale nie poczuwałem się za to do żadnej wdzięczności. Było mi tak dobrze na łonie śmierci...

---

skiego i Smolkę, estetyka zaś tylko jednego: p. Marjana Sokołowskiego. Kto z tych trzech panów przeniewierzył się zasadom stronnictwa, którego dogmatem jest usilne popieranie interesów dyrekcji teatru krakowskiego, nie wiem i nawet dochodzić nie mam zamiaru. To pewna, że zdrajca kryje się wśród tej trójcy i szerzy zniszczenie moralne, jakiego dotąd nie mieliśmy przykładu. Wzywam przeto przyszłego prezydenta miasta Krakowa, aby broniąc miasta od zarazy, użył całej swej władzy w celu zdemaskowania tego bezecnego zdrajcy i ateisty.

Ale kto będzie prezydentem miasta Krakowa? Czterdziestu dwóch kandydatów zgłosiło się do mnie, prosząc o poparcie «Przeglądu.» Rozważywszy ściśle, postanowiłem popierać p. Wincentego Eminowicza. Energia jego daje mi wszelką gwarancją, że interesa miasta szłyby jak po maśle. Ponieważ p. E. pobiera 2000 złr. jako naczelnik straży pożarnej możnaby go zatrzymać na tem stanowisku i sumę powyższą odciągać od pensyi prezydenta. W ciągu przeto już lat 20-stu zaoszczędziłoby miasto 40.000 złr., nie licząc procentu składanego. Gdyby który radca zbyt się na posiedzeniu rozpalał siknąłby pan prezydent z podręcznej sikawki i ochłodził zaciekłego mówcę. Stańczykom jako straży pożarnej naczelnik jej byłby bardzo na rękę, a liberały w samem na zwisku *mina* trącacem znajdowaliby urzeczywistnienie swego programu. Mieszkanie i konie p. E. już posiada, znane zaś jego przymioty towarzyskie ręczą, ze byłby i do wybitki i do wypitki. Jako prenumerator Przeglądu dowodzi, iż oświata i literatura leżą mu na sercu, jako opiekun muzyki miejskiej daje pewność rozwoju sztuki. Mundur, jaki nosi, nakazywałby poszanowanie władzy i każdy hrabia nie opuściłby posiedzenia rady, obawiając się, aby pod eskortą dwóch strażaków nie został sprowadzonym. Słowem kandydat mój nie obawia się rywalizacji.

Na zakończenie polecam lubownikom literatury najnowszą podróż humorystyczną po Europie pióra znanych nowellistów radcy Zaremby i Dra Domańskiego. Dzieło to zbogaciło naszą ubogą literaturę podróżniczą i tylko ignorancji europejskiej przypisać należy, iż dotąd nie zostało przetłomaczone na obce języki. Znakomite studja nad systemem Tallarda zapewniają dziełu temu nieśmiertelność.

K. B.

XVI.

Jak gdyby nic nie było zaszło, wróciłem po tym wypadku wieczorem do miasta. Ciągłe smutki ostatnich miesięcy zahartowały mnie przeciw wszelkim dolegliwościom zewnętrznym. Sądzę, że najbieglejszy cyrulik nie byłby był wówczas ze mnie wytoczył ani jednej kropli krwi. Tak byłem zastygły, zgorzkniały.

Zbliżając się do mego domu, widziałem jak ludzie wynosili z niego różne sprzęty. Więc komornik uczynił już co do niego należało?

Stanąłem przed progiem, przypatrując się pracy kruków lichwiarskich. Wkładali meble na wózki ręczne i odjeżdżali, turkocząc przeraźliwie po nierównym bruku ulicy. Jakiś barczysty chłop dźwignął milutką kozetkę, niebieskim wybitą atłasem i rzucił ją na taczkę, niby kawał martwego drzewa. Dla niego była ona rzeczywiście tylko zwykłym sprzętem, jak wiele innych, ale dla mnie? Siedząc na tej kanapce, przepędzaliśmy z Jadwinią całe wieczory, bawiąc się z sobą, jak dwa koteczki. To kęs mego życia, to szmat nieba, które losy nademną na czas krótki rozpięły, to świadek mego szczęścia.

Odwróciłem oczy mimo obojętności, nie chcąc patrzeć na poniewierkę mego pieszczocha.

Wózek oddalał się właśnie. Było mi w tej chwili prawie tak przykro, jak wtedy, kiedy wynosili trumienkę mego syna.

Słudzy Rosenthal'a znikli już w ciemnościach przedwczesnej nocy zimowej, kiedy się on sam ukazał na progu, opuszczając ostatni me zrabowane mieszkanie, jak dobry wódz pole bitwy. Spostrzegłszy mnie, zbliżył się, a ująwszy się pod boki, przypatrywał mi się przez chwilę żółtem okiem puhacza, stojącego nad rozszarpaną myszką.

— I cóż, panie inżenier? odezwał się po niejakim czasie obosiecznym głosem szyderstwa.

I znów spoglądał na mnie, roskoszując się widocznie mojem cierpieniem.

Wybrał sobie zaprawdę dobrą porę do znęcania się nademną, nie przeczuwając pewno, że w żyłach moich krążyła żółć zamiast krwi.

— I cóż, panie inżenier? — cedził powtórnie, wolno, wtłaczając każdą zgłoskę z osobna w mój mózg, w me serce. Kto mocniejszy, za kim jest prawo?

Pochyliłem lekko głowę, oddychałem szybko, brwi me zasunęły się na oczy, a z źrenic mych trysnęły w stronę żyda dwa promienie, tak czarne. jak myśl zbrodniarza. Cała nędza moja ostatnich miesięcy odbiła się w tym wzroku; cała nienawiść do wyzyskiwaczów owych nieszczęsnych okoliczności zewnętrznych, o których mi Terenkoczy tyle razy mówił, wybuchnęła, ziejąc na lichwiarza.

Byłem w tej chwili zdolnym do morderstwa.

— Kto mocniejszy? — powtarzał żyd, przysuwając się do mnie coraz bliżej. Wyrzucę pana z domu, wy...

Nie dokończył; krzyknął tylko krótko, jak ptak, pochwycony nagle pazurami silniejszego. Chciał mi się wyrwać, — szamotał się; chciał wołać — nie mógł. Schwyciłem go za gardło i trzymałem tak mocno, że ani drgnął. Byłbym go wtedy udusił, gdyby nie odgłos kroków, dochodzący z sąsiedniej ulicy.

Puściłem przerażonego lichwiarza i kopnąwszy go nogą jak parszywego psa, wszedłem do mieszkania.

Salon wyglądał, jakby po nim była przeszła banda opryszków. Próżny, zabłocony, zaśmiecony odpadkami muru, z którego powyrywano gwoździe, podtrzymujące zasłony u okien i kotary u drzwi, wyglądał jak izba czeladnia. Tak samo mój gabinet, będący zarazem buduarem żony. Zabrano mi wszystko, zostawiwszy tylko w salce jadalnej stół i kilka krzeseł i nie tknąwszy prawdopodobnie pokoju sypialnego.

Bałem się tam wejść. Tam płacze pewno Jadwiga. Cóż jej powiem, gdy zwróci na mnie swą bladą, zmęczoną twarz? Ręka drga mi jeszcze po uścisku, którym zaszczyciłem Rosenthal'a. A nuż się zwinie w pięść, gdy mi świekra będzie znów wyrzucała nieudolność i niezaradność, jak to czyni od roku? Nie, trzeba wystygnąć...

Stoję przy drzwiach, wiodących do komnatki sypialnej, przykładam gorące czoło do zimnej ściany, i czekam na uspokojenie się krwi.

Przez podwoje uchylone do połowy, widzę mą żonę, leżącą na szezlongu, a obok niej siedzi pani Rokitnicka w obszernym, wygodnym fotelu.

Twarz mej żony jest tak biała, jak koronka, która okrąża jej szyję, tem bielsza, że odbija wydatnie na tle czarnej sukienki i ciemnej ceraty, pokrywającej szezląg. Malutkie swe rączęta splotła na piersiach, a oczy podniosła w sufit, uczepiwszy je na haku, na którym się zwiesza lampa, różowem przyćmiona szkłem. W oczach jej nie widzę nawet odblasku łzy. Wypłakały się biedne, wyschły...

Ach, jaka ona piękna! To brylant rodu niewieściego, któremu potrzeba tylko drogocennej oprawy, aby zachwycał, olśniewając najwybredniejszego znawcę. To obraz mistrzowskiego pędzla, stworzony na to, aby na niego patrzeć i podziwiać. Nie dla mnie, pracownika, zarabiającego w pocie czoła na skąpy kawałek chleba, takie cacko, taka krucha zabaweczka. Jej potrzeba pałacu, karety, koni cugowych i liberji; ją można tylko dotknąć miękką dłonią dostatku. I mnie, nędznemu robotnikowi, zachciało się takiego pieścidełka, mnie, który powinienem się był ożenić z dziewczyną, zahartowaną w boju z życiem. Wyrwałem tego miluchnego gołąbka z jego ciepłego gniazdeczka, a dziwię się, że mu niedobrze w warunkach trudnych? Pochwyciłem go twardą, uznojoną dłonią wyrobnika, a gniewam się, że mu ze mną smutno?

O, byłem samolubem. Myślałem tylko o sobie, o swej namiętności, pragnąc jej zaspokojenia, nie pytając o to, czy jest w mocy mojej dać szczęście takiemu arcydziełu przyrody. Boć to arcydzieło! Z jakim wdziękiem spoczywa ona nawet dziś, po zburzeniu naszego ogniska! Każda linja jej postawy, jest muzyką, jest pomysłem rzezbiarza greckiego.

Ach, jaka ona piękna! Tylko klęknąć przed nią, złożyć ręce i modlić się. A ja pchnąłem ją bez miłosierdzia na rozhukane fale życia. To zbrodnia!

Czuję teraz, że wina znajduje się po mojej stronie, bo nie godzi się, aby robotnik taką posiadał żonę. Tylko bogatym wolno sięgać po piękno wszelakie i kochać dla miłości. Praca nie odznacza się pobłażliwością dla smakoszów estetycznych, ścierając puch z każdego uczucia. Pod dotknięciem jej grubieją delikatne rysy, czy oblicza, czy pojęć, czy zachwytów.

I cóż ona winna, ta moja koteczka najukochańsza, że nie umie stawiać czoła wichrom ubóstwa, że potyka się o przeszkody, których zarobkowanie nie szczędzi swym galernikom? Odebrała wychowanie pańskie, jak wiele dziewczyn polskich, znajdujących się w jej warunkach. Jest tem, czem ją zrobili.

Byłem już zupełnie spokojnym; przebaczyłem żonie mej przykrości, doznane z jej przyczyny, wziąłem nawet na siebie odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Mogłem teraz wejść.

Wtem zaczęła pani Rokitnicka mówić. Słuchałem. Może dowiem się, czego pragną, pomyślałem sobie.

— I cóż ty na to, Jadwiniu? — zapytała.

Moja żona nie odrywała ócz od lampy.

— Zrozum nareszcie, że w ten sposób nie może iść dalej — prawiła świekra. Dziś zabrali mu meble, jutro wyrzuci go wła-

ściciel na bruk, pojutrze obłożą mu pensją aresztem, czem już Rosenthal groził...

Zatrzymała się, śledząc na twarzy swej córki wrażenia tych słów. Ale Jadwinia nie ruszała się.

— Och, gdybyś mnie była posłuchała i wyszła za Ścigalskiego, byłoby się wszystko inaczej ułożyło. Wprawdzie zaczął już pan Wojciech piąty krzyżyk i sztukuje sobie czuprynę peruką, ale cóż to znaczy? Mężczyzna dojrzewa dopiero właśnie po czterdziestym roku życia, zwłaszcza, gdy jest tak bogatym, jak pan Ścigalski. Ale wam, dziewczynom, świta zawsze w główkach owa miłość, o których się tyle naczytacie w nierozumnych romansach. Masz teraz skutki swej miłości. Czy wiesz Jadwiniu, że pan Ścigalski myśli jeszcze o tobie?

— Mamo, jestem żoną Zygmunta — zawołała teraz Jadwiga, poczerwieniawszy lekko.

Nastało milczenie, trwające przez kilka minut. Mamunia namyślała się snać, z której strony ponowny zacząć atak.

— Co do mnie — odezwała się powtórnie, przysuwając się bliżej do swej córki — sądziłabym, żeby było nawet w interesie Zygmunta, abyśmy go na pewien czas zwolniły z opieki nad nami. Mogłybyśmy wyjechać na kilka miesięcy do wuja Jana, w Kaliskie, a przez ten czas popłaciłby twój mąż długi, i uzyskałby może lepszą posadę. Zbliża się właśnie karnawał, a tobie potrzeba po tylu smutkach i przejściach trochę zabawy. Wuj Jan pisał właśnie do mnie, zapraszając nas do siebie.

— Zapominasz, mamo, że żona powinna być u swego męża — rzekła Jadwiga, ale tym razem bez rumieńca. Zygmuntowi potrzeba właśnie teraz przyjaciółki któraby go pocieszała.

— Wcale też nie mówię, abyś go miała na zawsze opuszczać — podchwyciła pani Rokitnicka szybko. Wyjedziemy i wrócimy, gdy interesa swe ureguluje. Jesteśmy mu teraz ciężarem, zawadzamy mu. Powiadam ci, żeby tak było najlepiej.

— Rzeczywiście możeby to było z korzyścią dla Zygmusia — szeptała moja żona cichutko, wodząc zamyślonym wzrokiem po suficie.

Rzeczywiście, tak będzie najlepiej, pomyślałem i ja. Cóżby ona robiła w pustem, smutnem mieszkaniu? Zmęczyłaby się wpośród ciągłych upokorzeń, które muszą teraz spaść na mnie w długim szeregu. Ja przywykłem od pierwszej chwili, kiedy mnie do szkół oddano, do poniewierki pracownego życia, do tych drobnych a tak bolących ukąszeń powszednich kłopotów. Ale ona? Nie, nie chcę, aby cierpiała za winę moję.

Przekroczyłem próg komnaty sypialnej i stanąłem natychmiast po stronie świekry, lękając się, aby mnie nie odstąpiła odwaga poświęcenia się. Trudno bowiem nazwać inaczej zrzeczenie się, choćby na czas najkrótszy, towarzystwa tak pięknej żony.

— Przepraszam bardzo za niewłaściwą ciekawość, — wyrzekłem szybko, spiesząc się z słowami — ale stałem się mimowoli ukrytym świadkiem rozmowy pań. Jeśli mi wolno dorzucić w tej sprawie własne zdanie...

Następnik utkwił mi w gardle, bo czułem, że Jadwiga podniosła na mnie swój wzrok, choć nie zwracałem oczu w jej stronę, wiedząc, że niejedno moje postanowienie roztopiło się już w promieniach jej spojrzenia.

Nastało przykre milczenie, trwające kilka sekund. Myśli zaczęły mi się plątać w głowie, jakby niewysłowionym usidlone czarem, a krew zbiegła mi z twarzy do serca. Musiałem być wtedy bardzo blady.

— Możeby lepiej było, gdyby Jadwinia wyjechała na pewien czas do Polski — wybąknąłem zapomniawszy o poprzedniku.

Powtórne milczenie.

Stałem z głową, opuszczoną na pierś złamany, zimny, jak człowiek uparty, który wie, że popełnił zbrodnię lecz przyznać się do niej, nie chce.

— I ty, i ty to mówisz, Zygmusiu, ty radzisz mi, abym cię opuściła, ty...

Resztę słów mej żony pochłonął cichy płacz, odbierający mi przytomność.

Rzuciłem się do nóg Jadwigi, całowałem rąbek jej sukni, przepraszałem, nie patrząc na mego gołąbka; przysięgałem, że będę pracował usilnie, że wystaram się o lepszą posadę, mówiłem wiele, ciągle, nie wiem już co, drżącemi, rozpalonemi gorączkowo usty, prawie obłąkany.

Ach, ja kochałem żonę moję w tej chwili więcej, aniżeli kiedykolwiek, a błagałem mimo to sam o rozłąkę. Niech jedzie, niech odpocznie wśród swobody dostatku, niech się bawi, koniecznie niech się bawi; będę szczęśliwy świadomością, że jej dobrze w stronach rodzinnych.

A ja? Nie myślałem wcale o sobie, zapomniawszy, że istnieję.

Ona opierała się zrazu, mówiąc o obowiązkach żony, lecz kiedy zacząłem malować życie w ubóstwie, nie szczędząc czarnych barw, zgodziła się w końcu na wszystko.

— Rozłączymy się tylko na kilka miesięcy, najwyżej na pół roku, a potem będziemy znów razem, do śmierci razem — szeptałem.

Nazajutrz wieczorem stały konie pocztowe przed domem. Wziąłem całą pensją miesięczną z kasy, nie zostawiając dla siebie ani grosza. Bierz, co mam, a baw się...

Lękając się zmiany postanowienia, przyspieszałem sam wyjazd. Kładłem rzeczy do kuferków, ubierałem panie, a gdy wszystko było gotowe, pożegnałem się z żoną krótkim, gwałtownym uściskiem.

— Do widzenia! — mówiła, siedząc już w saniach — pamiętaj o mnie!

— Do widzenia! — chciałem odpowiedzieć, ale wyrzekłem tylko ochrypłym głosem: jedź!

Konie ruszyły i poszły...

Zostałem sam, na progu mego domu z oczyma, wlepionemi w ciemności, oparty plecami na odrzwiach.

Do widzenia? Nie mogłem słów tych wydobyć z siebie, bo głos wewnętrzny wtórował im: nieprawda! Jak wówczas, kiedy Terenkoczy odjeżdżał, odezwał się we mnie i dziś jakiś sobowtór: nigdy, nigdy! Kim był ten ostrzegacz, gdzie siedlisko jego, zkąd to jasnowidzenie — któż to odgadnie?

Uważałem już niejednokrotnie, że znajdują się we mnie jakby dwie istoty, z których druga, usunięta na stronę codziennemi wypadkami życia, straszyła mnie w chwilach ważnych swemi przepowiedniami. I w Warmbrunn, na górze Kynast, kiedy, obejmując Jadwinię po raz pierwszy, dobiegłem szczytu marzeń i pragnień młodości, padł na mnie nagle wielki smutek, jakgdyby anioł śmierci dotknął ramion moich kończynami swych czarnych skrzydeł. Przypominam sobie teraz to uczucie, którego w uniesieniu nie zauważyłem. O, znam ten cichy, tajemniczy szept, te lekkie dreszcze przeczucia.

Do widzenia? Nie zobaczę cię już nigdy, żywy śnie młodości mojej, ani spojrzę kiedykolwiek w twe promienne oczy, bo zgasły one dla mnie na zawsze. On mi to powiedział, on, ów głos niepochwytny, niezrozumiały, zdający się spływać na nas z innych światów.

Nigdy, nigdy, nigdy...

Zatrząsłem się, oglądając się z trwogą. Ani jedna łza nie zabłysła na dnie mych źrenic. Serce moje było ciche, jakby bić przestało, ciało zimne, a mózg suchy. Nie myślałem, nie czułem nic, straszny tylko niepokój ogarnął całą istność moję.

Nigdy, nigdy, nigdy!.

Wróciłem do mieszkania, a odgłos kroków moich, rozlegający się w pustych pokojach, przerażał mnie. Wybiegłem na ulicę, przemierzyłem miasteczko wzdłuż i w szerz, nareszcie wpadłem do piwiarni inżenierów i usiadłem za stołem. Choć kształciłem się w Niemczech przez długie lata, nie mogłem się przyzwyczaić do ciężkiego napoju germanów. Dziś wychyliłem kilka kubków piwa z pragnieniem człowieka, któremu gorycz spaliła wnętrzności, a kiedy mi w głowie zaczęło szumieć, powlokłem się do domu.

Różowem szkłem przyćmione światło lampy dogorywało właśnie w pokoju sypialnym, drgając ostatniemi błyskami. Rzuciłem się na łóżko w ubraniu i zasnąłem natychmiast, zmorzony zdradziecką siłą soku jęczmiennego.

A dobroczynny sen, serdeczny brat śmierci, zaniósł mnie do Warmbrunn, na górę Kynast, na balkon kapryśnej Kunigundy. Nad nami uśmiechało się złociste niebo, gorejące w pocałunkach słońca, wokoło szumiały jodły odwieczną pieśń miłości, a na dole, wśród urwisk, pienił się potok, jak rozszalała namiętność.

Ja — zapomniałem o świecie, ona, — omdlewała w objęciach moich. Byliśmy niewymownie szczęśliwi.

Tylko kawki i kruki, okrążające basztę zamkową, krakały złowieszczo:

— Nigdy, nigdy, nigdy...

XVII.

Przebudziwszy się nazajutrz dość późno, odetchnąłem, spostrzegłszy, że jestem sam. Wstyd mi przyznać się do tego, lecz... ucieszyłem się ze swobody.

Ciągłe, codzienne troski o marny grosz, zatruły mi w ostatnim roku życie. Pochodząc z rodziny niegdyś zamożnej, a później, gdy podupadła, żyjącej wprawdzie w warunkach ograniczonych, lecz mimo to zawsze dostatnich, nie miałem talentu na chleboroba. Nigdy też nie troszczyłem się o to, co będę jutro jadł i pił. Będąc temperamentu krewkiego, nie miałem w sobie usilności i wytrwałości, właściwej flegmatykom. Nie lubiłem myśleć o zarobkowaniu, tak samo jak Jadwiga. Byliśmy spadkobiercami wad naszych przodków; nie dopełnialiśmy się.

Ostatnie trzy lata męczyłem się, myśląc ciągle o tem, zkąd dostać pieniędzy. Wiedziałem, że nikczemnieję w tej walce z niedostatkiem, że tracę poczucie godności osobistej, zmuszony schlebiać każdemu, kto mi pożyczkę obiecywał. Wkrótce też zrozumiałem, że długi moje są prostą kradzieżą, gdyż brałem w końcu bez nadziei oddania.

Zacząłem się sobą brzydzić. Instynkta rodziny czystej i uczciwej od wieków buntowały się we mnie przeciw rozmyślnemu w końcu, więc karygodnemu wyzyskiwaniu kolegów i znajomych. Nie byłbym dłużej tego położenia wytrzymał.

Odjechały, niech się bawią, a ja pokryję tymczasem długi, które mi ciężą, jak pamięć dokonanej zbrodni.

Choć minęła już godzina urzędowa, nie spieszyłem się do biura. Musiałem udawać pokornego sługę, dopóki mnie krępowała odpowiedzialność głowy domu, ale teraz? Gdy mnie naczelnik będzie dręczył, stanę okoniem, pokażę mu zęby, nauczę go rozumu. Cóż to, żakiem jestem, czy co, aby mi pierwszy lepszy biuralista prawił perory? A zresztą, czyż świat nie jest dalekim i szerokim? Pójdę, gdzie mnie oczy zawiodą, za bocianami, za żórawiami, i nie umrę z głodu, bo pracy jest wszędzie dosyć. O, dla Boga! Zdrowych rąk dwoje, głowa na karku, trochę nauki w mózgownicy, a da sobie człowiek radę, nie tu, to tam. Nie ma czego żałować mizernej służby pruskiej.

Z dawną fantazją włożyłem czapkę na bakier, podkręciłem wąsa i pomaszerowałem lekkim krokiem do kantoru.

Ledwo wszedłem do swego pokoju, a juści stawił się rzeczywiście pan Krüger i nie przemówiwszy do mnie ani słowa, pokazał mi tylko zegarek. Miało to znaczyć: spóźniłeś się!

— Wiem, godzina dziesiąta, zaspałem — wyrzekłem, rozbierając się z płaszcza.

Naczelnika zdziwił spokój, z jakim wygłosiłem te słowa. Widziałem to po jego bezradności, z którą na mnie spojrzał. Chwilę stał, nie wiedząc co począć, potem wyprostował się swym zwyczajem i wycedził napomnienie.

— Regulamin dyrekcji przepisał bardzo dokładnie czas pracy, a ponieważ pan przekraczasz własnowolnie przepisy, przeto jestem zmuszony zawiadomić o tem wyższą władzę i zapisać w pańskich aktach osobistych pierwsze monitum.

— Owszem — rzuciłem niedbale, schylając się nad kartonem.

Nie mogłem dostrzedz, co się w tej chwili działo z panem Krügerem, bo stałem odwrócony do niego tyłem, ale domyślałem się, że musiał pożółknąć, jak cytryna. Słyszałem tylko, że sapał jak dziurawy miech kowalski, co mnie okrutnie bawiło.

— Panie asystencie! — wrzasnął.

— Czem panu mogę służyć? — odparłem, nie podnosząc oczu z kartonu.

— Oświadczam panu, że nie pozwolę sobie z siebie żartować. Jestem pańskim zwierzchnikiem.

— Przestałbyś pan z tem ciągłem zwierzchnictwem — wyrzekłem odwracając się do niego. Moim i pańskim zwierzchnikiem jest dyrekcja, która nas obudwóch płaci, moim i pańskim obowiązkiem jest dokładne wykonanie planów, zatwierdzonych przez ministra komunikacji, bo jesteśmy obadwaj inżenierami. Jeźli się zaś panu zachciewa koniecznie porządku biurowego, to zwierzchnikuj sobie pisarkom, kalkulatorom, kasyerom, sekretarzom i oficjalistom innym, a mnie daj spokój, bo mi się twoje zrzędzenia nareszcie sprzykrzyły. Odpowiadam za pracę, za obrachunki i budowę linji, a nie za spóźnianie się do biura.

Pan Krüger oniemiał, a ja nasycałem się wzrokiem jego osłupienia; wynagradzałem sobie długo udawaną pokorę.

— Jeżeli się panu czynności moje nie podobają,—ciągnąłem dalej — to racz mnie zadenucjować do dyrekcji, a ja wytłómaczę się przed naszą wspólną władzą. A teraz, panie szefie, zechciej mnie łaskawie opuścić, bo muszę jeszcze dziś skończyć kilka kosztorysów.

Schyliłem się powtórnie nad papierami, a pan Krüger wymknął się z mego pokoju. Głośny oklask odezwał się na korytarzu. To bili mi koledzy «brawo;» wszyscy bowiem nie cierpieli tej mumji urzędniczej.

Pan Krüger «raportował» rzeczywiście o mej «krnąbrności» natychmiast do Berlina, lecz poniósł drugą porażkę, bo naczelny dyrektor odpowiedział mu, żeby patrzał pracy, a nie mięszał się do takich drobiazgów. W reskrypcie napisano: «inżenier Śliwiński pełnił obowiązki swe zawsze wzorowo, przeto nie widzimy powodu do urzędowego monitum wskutek sprawozdania pańskiego.»

Szef zgryzł w milczeniu ten gorzki orzech, ale postanowił się zemścić. Chociaż miał do dyspozycji kilkunastu inżenierów, wysyłał tylko mnie do poprawek, do sprawdzań na linji. Mogłem się wprawdzie oprzeć, bo nie byłem obowiązany znosić codziennie niewygody pory zimowej pod gołem niebem, ale nie odwoływałem się ani razu do praw, jakie mi służyły.

Nie chciałem. Gdyż... chwilowe szczęście z uzyskanej swobody przeminęło bardzo rychło. Przez cały tydzień było mi dobrze samemu. Tylko przez tydzień... Potem pochwyciła mnie stra-

szliwa tęsknota, gorsza od kłopotów pieniężnych, boleśniejsza od poniżeń i upokorzeń.

Nie wolno śmiertelnikowi przyłożyć bezkarnie ust do czary, szumiącej słodyczami potężnego uczucia. Słabnie on, jak nałogowy pijak, któremu zabrano ulubiony napój.

Gdy minęła świeża pamięć doznanych smutków, zatarta oddaleniem, zacząłem czuć, że mi braknie połowicy mojej. Przywykłem do jej widoku, do jej łez nawet, zżyłem się z nią całem jestestwem mojem, byłem niewolnikiem samego siebie, swej namiętności.

Wróciwszy wieczorem do domu, siadałem na łóżku i ukrywszy twarz w dłoniach, myślałem znów o «niej,» jak kiedyś, przed zaręczynami, na zamku Kunigundy. Przypominałem sobie wszystkie szczegóły: spotkanie, poznanie, pobyt u wód, rozmowy przy wodospadzie hermsdorfskim, pierwszy uścisk, pierwszy pocałunek, dzień ślubu, i szczęście, i boleści, i całą przeszłość i każdą drobnostkę.

Kochałem ją znów tak gorąco, jak w pierwszych dniach naszego wspolnego pożycia, zajęty tylko myślą o niej. Gdzie stanąłem, gdzie się ruszyłem: czy pracowałem w biurze, czy też na dworze, wszędzie rozmawiałem z «nią,» z moją najdroższą.

Miłość do niej stała się dla mnie warunkiem istnienia, czułem, że nie umiałbym, nie mógłbym bez niej żyć.

— Jadwigo, Jadwigo! — wołałem, biegając po opustoszałem mieszkaniu. — Gdzie jesteś, wróć do mnie, kochaj mnie znów, jak ja ciebie ubóstwiam, miłuję bez granic, bez końca.

Ale Jadwigi nie było. W pokoju sypialnym walały się tylko szczątki wstążeczek, guziczków, szpilek. Chwytałem każdą drobnostkę, ktora świadczyła o jej bytności, przykładałem ją do ust, przyciskałem do serca, zamykałem starannie, ażeby mi jej ktoś nie zabrał.

Nie tobie, niewolniku, pragnąć swobody! Może miłość okuła cię na zawsze w kajdany, iż powleczesz je za sobą do grobu.

Czasem uczuwałem żal do Jadwigi, że mnie opuściła, choć ją sam do tego namawiałem, a wtedy biegłem na cmentarz, na mogiłkę mego syna i skarżyłem się jego prochom:

— Mama twoja bawi się, a tatuś...

Co, tatuś? Nie wiedziałem co robię. Z cmentarza uciekłem do miasta, między ludzi, ale nieopatrzne ich wesele rozkrwawiło mi serce. W domu znów straszyła mnie grobowa cisza pustego mieszkania. Szalałem z tęsknoty.

A ona?

XVIII.

Jej musiało być dobrze na łonie dawnej rodziny, bo nie spieszyła się wcale z pierwszym listem do mnie.

Trzy dni przepędziła w podróży, jedną dobę odpoczywała, trzy dni szło pismo, więc dziś powinno być słówko serdeczne od mej żony—mówiłem do siebie ósmego dnia po wyjeździe pań.

Daremnie jednak zatrzymywałem listonosza kilka razy na ulicy. Sługa pocztowy wzruszał zawsze ramionami: nie mam nic dla pana.

Prawda, zapomniałem. W Kaliskiem mieszka trzech wujów mojego koteczka, których musiała odwiedzić, wróciwszy do kraju po kilkoletniej nieobecności. Dziś pojechała do pana Wojciecha, jutro do pana Stanisława, pojutrze do pana Zygmunta, ale teraz, pozbywszy się wszystkich formalności, siedzi z pewnością w swoim pokoiku i pisze do mnie.

Ale listonosz wzdrygnął znów tylko ramionami, gdy chciałem w niego koniecznie wmówić, że idzie do mnie z posyłką.

Zacząłem się niepokoić. A może spotkało ją w drodze jakie nieszczęście, może zasłabła, może... Potrząsnąłem głową, jak ktoś, który czuje, że mu się w mózgu myśli mieszają.

Trzeba posłać depeszę. Ale w Królestwie leżą telegramy po kilka dni na małych stacjach, zanim je pan naczelnik raczy przesłać adresatowi. Tak mi mówiono. Nie warto, — lepiej czekać— list nadejdzie, musi nadejść.

Tymczasem mijał dzień po dniu, a tęsknota moja rosła w miarę zacierania się wzruszeń przykrych, a wypływania przyjemnych. Jak ona mnie kochała, jak pieściła i całowała! Miłość jej rozpięła nademną kawał czystego, błękitnego nieba, zamieniła życie moje na poezją, dała mi mimo trudnych warunków, prawdziwe, niezmącone szczęście. Nie ona spowodowała katastrofę materjalną, lecz ja sam. Byłem niezaradnym, nieudolnym, jak twierdziła świekra bardzo słusznie. O! niech tylko powróci, a urządzę wszystko inaczej.

Ale ten list, ten list! Dlaczego niema go tak długo? Panie Langner, ty musiałeś pismo zgubić! Listonosz patrzy na mnie i odchodzi obrażony, bo urzędnik pruski zwykł pilnować rzeczy, które mu władza powierzyła.

Czy w biurze, czy w polu ustaję co chwila w pracy, oddychając ciężko. Na czoło spadają mi suche strzępki spalonego włosa; odgarniam je wybladłą ręką i zapatruję się w dal, przed siebie. Robotnicy spozierają na mnie z milczącem współczuciem i wykonywują wszystkie rozkazy szybko, bez szelestu, jakgdyby nie chcieli płoszyć myśli moich. Czasem zataczam w około błędnym wzrokiem, jakgdybym się dziwił otoczeniu, które znam przecież już na pamięć. Dlaczego niema upragnionego pisma?

Przyszło nareszcie, po trzech tygodniach. O, ja wiedziałem, że moja najukochańsza myśli o mnie. Jaka ona dobra, jaka poczciwa.

«Wystaw sobie, pisze mi, tyle miałem wizyt, i różnych zajęć, tyle było rozjazdów i wieczorków w sąsiedztwie, iż nie mogłam znaleźć wolnej chwilki, aby z tobą pogawędzić.»

Naturalnie, nie miała czasu, a ja winiłem ją w godzinach czarnych o obojętność.

«Bawię się tu wybornie, tańczę wiele, odnawiam dawne znajomości i byłabym zupełnie szczęśliwą, gdyby nie tęsknota za tobą, mój mężusiu.»

Przycisnąłem list do ust i obejrzałem się z dumą w oku, szepcząc: A co? jak gdyby mnie ktoś słuchał. A co, nie mówiłem? Ona mnie kocha, ona tęskni za mną. O, mój ty aniele najświętszy!

Było mi odtąd weselej w domu, bo miałem towarzysza. Ilekroć mi tęsknota przypinała skrzydła do ramion, namawiając do ucieczki, wydobywałem list Jadwini i odczytywałem go, wykrywając w nim codziennie jakąś nową serdeczność, ktorej dawniej nie dostrzegłem.

Ale nieobfite zródło czterech kartek wyczerpało się rychło, a każde nowe pismo zawierało wprawdzie także kilka słodkich słówek, lecz rzucanych coraz więcej odręcznie, w pośpiechu, między jedną zabawą a drugą, których opis zapełniał cały list.

Karnawał wrzał w Kaliskiem, a moja Jadwinia wirowała w jego falach kipiących, jak drobny kwiateczek, porwany silnym prądem wspienionego potoku. Dziś bal, jutro wieczorek, pojutrze kulig! Z dziecinną radością opisywała mi żona powodzenie swoje w stronach rodzinnych, a była niem tak zajęta, że znalazła zaledwo czas i ochotę do nakreślenia kilku czulszych zwrotów.

Ona taka młoda! Przedwczesny szron padł na wiosnę jej życia, grożąc zmrożeniem jej serduszka. Niech odtaje, niech się bawi...

Tłómaczyłem ją przed sobą samym, wmawiałem w siebie, że mnie tęsknota czyni niesprawiedliwym, zanadto wymagającym, ale tajemniczy sobowtór, czyhający na każde słowo mej żony, odzywał się znów od czasu do czasu z cicha, ostrożnie: nigdy...

I nasze miasteczko rozhulało się w karnawale, jak student, wypuszczony ze szkoły na wakacje. Młodzi koledzy moi wodzili rej, tworząc ruchliwy zywioł arystokracji powiatowej, podawani z rąk do rąk, jak kiedyś Terenkoczy i ja.

Choć od owego czasu mijał dopiero czwarty rok, patrzyłem na towarzyszów wzrokiem przeżytego starca, nierozumiejącego nieopatrznego wesela.

Od czasu, kiedy ujrzałem Jadwigę po raz pierwszy w wagonie, umiałem tylko o niej myśleć. Straszna namiętność zużyła wszystkie moje siły, czyniąc mnie niezdolnym do szczęścia w innej formie. Świadomość tej niemocy potęgowała się we mnie w miarę stygnięcia jej listow. O, gdybym ją miał stracić! Nie, nie, ona jest mną, bez niej przestaję być sobą.

Ciągła myśl o niej robiła mnie tetrykiem w kwiecie młodości. Nie mając nikogo, komubym się mógł zwierzyć, rozmawiałem z sobą, jak człowiek obłąkany lub artysta, wystarczający sobie zupełnie. Czasem, siedząc w biurze nad kartonem, odwracałem nagle głowę, pytając: co? Koledzy spoglądali na mnie zdziwieni, a potem wzruszali ramionami, pokazując palcem na czoło.

Prawda, zaczynało mi się tam wszystko mięszać. Ta sama wiecznie myśl, świdrująca w mozgu z uporem dzięcioła, sprawiała, że stawałem się nieprzytomnym, nie umiejąc w końcu odróżnić liczby od znaków technicznych. Myliłem się ciągle; zamiast drzwi, rysowałem na planach architektonicznych okna, zamiast kominów piece. Co chwila spadały teraz na mnie z Berlina napomnienia, bo mściwy zwierzchnik odsyłał dyrekcji dziwaczne moje projekta bez poprawki. W końcu zagrożono mi dymisją, a nadomiar obłożył Rosenthal pensją moją aresztem. Fala po fali zbierała się nad biedną głową moją. Tonę, tonę! — wołałem głosem rozkwilonego, słabego dziecięcia—niema ratunku, niema...

Ta straszna namiętność wypiła ze mnie wszystkie soki żywotne, robiąc mnie niedołęgą, kaleką umysłowym. Czasami dźwigałem się, chciałem ją wyrwać z serca, rzucić precz od siebie, być znów młodym, sprężystym, ale po chwili upadłem na siłach. Miłość oplotła mnie tysiącznemi ramionami polipa, nieubłagana, potężna, jak spokojny uśmiech sfinksa.

— Ja żyć bez ciebie nie mogę, Jadwigo! Wróć do mnie... wróć...

Listy jej nadchodziły coraz rzadziej, coraz obojętniejszemi zapełniane słowami. Do widzenia — oszczędzaj się — nie pracuj za wiele — pamiętaj o mnie; — nic więcej.

Raz, na początku wiosny pisała mi, że stary jej konkurent, ten jakiś pan Ścigalski, prześladuje ją różnemi grzecznościami. Śmiała się z niego, ale ja rzuciłem się, jak gdybym stopą syczącego dotknął węża.

— Jestem bardzo biedny!—poskarżyłem się nagim ścianom.

XX.

Stałem przed zwierciadłem i przypatrywałem się sobie, uśmiechnięty smutno. Żar myśli, wichrzących od kilku miesięcy w mej skołatanej głowie, spalił mi włosy, starł blask z mych oczu, wysuszył mi twarz. Ciężką stopą dotknęła mnie tęsknota, tak ciężką, że postać moja złamała się pod nią.

Nie liczyłem jeszcze trzydziestu lat życia, a byłem już łysy, zwiędły i pomięty, jak pomięta suknia. Dawniej, wytrzymały na zimna i słoty, drżałem teraz w biurze, jak mój szef, a w polu marzłem, choć maj już mijał. Wieczorami zwłaszcza nie ruszałem się z domu bez cieplejszego płaszcza.

Zestarzałem się w kwiecie młodości.

Mniejsza o ciało; ale cóż się stało z moją nieopatrznością, z wolą, z umysłem? Lada drobnostka przestraszała mnie dziś; nie miałem do niczego ochoty, a pamięć tępiała z każdym dniem. Bywało, że musiałem posługiwać się kalendarzami technicznemi, gdyż zapomniałem najelementarniejszych formułek. Praca zmęczyła mnie niesłychanie; wartości liczb nie umiałem rozróżnić, a własne projekta badałem często z ciekawością nowicjusza.

Pewnego razu przypatrywał mi się w piwiarni lekarz miasteczka powiatowego bardzo długo i bardzo uważnie. Potem odchrząknął i wyrzekł:

— Pan cierpisz na słabość nerwową, ktora się może źle skończyć. Radziłbym panu wziąć urlop i wyjechać gdzie w świat, abyś się trochę rozerwał.

Uśmiechnąłem się tylko, a niedopiwszy piwa, opuściłem restauracją.

Nerwy? Tłumiony śmiech gardłowy odpowiedział na to pytanie. Nerwy? Ha, ha, ha.

Wolnym krokiem powlokłem się za miasto, na cmentarz, na mogiłkę mego syna.

— Słyszysz, Witoldku, twoja mama bawi się w Polsce, a twój tatuś choruje na nerwy.

A potem śmiałem się serdecznie, boleśnie, aż mnie grabarz naszedł i wypędził z cichych dzierżaw uśnionych na wieki. Lękał się pewno, aby nie miał kłopotu z oszalałym biedakiem. Ludzie obawiają się nieszczęśliwych.

Mama Witoldka pisała coraz rzadziej, obojętniej, ale za to nasyłała mnie teraz świekra listami. Pytała, jak stoją moje interesa, czy mam nadzieję, że się polepszą, czy zapłaciłem długi itd. Później potrącała o niemożliwość takiego stosunku, o nieszczęście swej córki, zasypując mnie wyrzutami, że zamknąłem Jadwini drogę do dobrobytu. W maju doniosła mi już wprost, żeby może lepiej było, gdybym się zrzekł praw swych do żony, żebym się rozwiódł.

Rzeczywiście, byłoby to może najlepiej. Odkąd poznałem Jadwigę, myślałem tylko o jej szczęściu, więc jeżli jej do niego potrzeba, abym dla niej przestał istnieć, to...

Nie miałem zrazu odwagi dokończyć całej myśli. Umiałem tylko paść twarzą na poduszki i łkać, jak słaba niewiasta. O, ta straszna namiętność spaliła we mnie wszystkie siły żywotne. Jestem cieniem człowieka.

Dziś stoję przed zwierciadłem i przypatruję się własnej twarzy z obojętnym uśmiechem. Miałem czas oswoić się z pomysłem świekry, bo od ostatniego jej listu minęło już kilka dni. Rzeczywiście, byłoby to może najlepiej...

Bo i cóż dziś po mnie? Jestem młodym starcem bez woli i bez pragnień, zupełnie niepodobnym do tego Zygmunta, którego Jadwiga pokochała. Gdyby mnie teraz ujrzała, możeby się od niedołęgi odwróciła z wstrętem.

Ale rozwód — to zabawka kosztowna. Mnie nie starczy na taki zbytek. I w tym razie potrzeba pieniędzy.

Zbladłem. Dziwna myśl zabłysła mi pod czaszką. Nie masz innego środka, aby zejść z drogi kobiecie ubostwianej? Gdybym znikł zupełnie...

Zimno mi. Oglądam się z trwogą, jakbym czuł szatana, stojącego za memi plecami. W pokoju niema nikogo. Kto mnie kusi?

Na cóż takie istnienie? Jakiż cel życia, które się już nikomu na nic nie przyda, a zawadza jedynej, ukochanej istocie? Prawda... prawda...

Przestaję się myśli tej lękać; przyczepiam się do niej, zaczynam do niej przywykać. Ach jak mnie ona wabi! Nie być, nie istnieć wcale, nie męczyć się już niczem, nic nie czuć, jak kamień, jak piasek, jak ten porzucony, zdeptany, sponiewierany w błocie listek kwitnącej jeszcze wczoraj róży! Musi to być jedyna, rzeczywista roskosz na tym świecie; wszystko bowiem inne przemija i boli.

Nie zrobiłem dotąd nic wielkiego, pożytecznego, a przecież jestem zdolny do ofiar. Dawniej poświęcali się ludzie dla kochanek! Dla czegóż nie miałbym się ja poświęcić dla żony, której zawdzięczam kilkanaście miesięcy prawdziwego szczęścia? Dała mi, na co ją starczyło, oddam jej więc wszystko, czem dotąd rozporządzam. Weź je, weź to nędzne, młode życie moje, które jest jeszcze własnością twego Zygmunta i bądź szczęśliwa...

Byłem w tej chwili spokojny, jak człowiek, który się po długich cierpieniach pogodził nareszcie z swoim losem. Spojrzałem przez okno, na ogród, na kwiaty i drzewa, świeżą pokryte zielenią. Tam rozkwitało młode życie, a we mnie?...

Splotłem ręce na piersiach i wzniósłszy oczy w niebo, szepnąłem cicho, pokornie:

— Przebacz mi, Panie Panów, ale, widzisz, ja «jej» zawadzam. Jej potrzeba do szczęścia, abym nie był, przeto zmiłuj się nad biednem sercem mojem.

Westchnąłem i byłem gotów.

Za kilka dni skończy się budowa drogi żelaznej, a wtedy mogę sobie odejść, dokąd tylko zapragnę. Chcę popłynąć daleko, bardzo daleko, między obłoki, błękity niebieskie i gwiazdy, gdzie niema nic okrom spokoju. Bo i miłość boli...

. . . .

Ktoś idzie ulicą, zmierzając do chatki mojej. To mój ziomek, którego nam przysłali z Berlina, aby się trochę przypatrzył pracy polnej. Młodziuchny to chłopiec, nie liczy jeszcze lat dwudziestu, wyfrunął po raz pierwszy w świat, między obcych ludzi, do których się rwie z tęsknotą rozkwitających uczuć. Kocham go, bo przypomina mi moje własne czasy studenckie. Chciałbym mu zostawić po sobie jaką pamiątkę, ale jaką? Nie posiadam już nic, bo mi wierzyciele wszystko zabrali.

A gdybym się z nim podzielił doświadczeniem mego niedługiego życia? Wiem, że z niego nie skorzysta, ale może sobie kiedyś przypomni niegłośne przygody moje i zastanowi się nad niemi, gdy nadejdzie właściwy czas. Z oczu jego tryska chęć używania, serce jego pragnie i pożąda, jak niegdyś moje. Może mu się moja biografija na co przyda.

. . . .

Tym młodym ziomkiem inżeniera Śliwińskiego, którego posłali z Berlina nad Bałtyk, aby się trochę przypatrzył pracy polnej, był autor niniejszej powieści.

Jeszcze tego samego dnia opowiedział mi starszy kolega niegłośne przygody swego krótkiego życia. Wyszliśmy do miasta, do hotelu i siedzieliśmy przy stole dębowym do samego rana. Śliwiński pił węgrzyna i skarżył się na swą niedolę głosem cichym, chrypiącym czasami ze wzruszenia. Twarz jego drgała przytem nerwowo.

Kilka dni później obchodziliśmy wielkie święto. Inżenierowie, ukończywszy budowę drogi żelaznej, oddawali ją na użytek publiczności. Na dowód zaś, że wykonali swą pracę sumiennie i uczciwie, postanowili przejechać pierwsi po nowej linji.

Na kilka godzin przed uroczystem otwarciem drogi, widziałem się z inżenierem Śliwińskim.

— Spodziewam się, że się zobaczymy na dworcu — wyrzekłem.

— O, będę z wami, będę, a nawet zabawię was trochę oryginalnem widowiskiem — odparł, rozśmiawszy się nieszczerze, jakby szyderczo.

Nie domyśliłem się niczego.

Pogodny, ciepły dzień czerwca ożywił i rozweselił smutne zwykle oblicze równin nadmorskich. Słońce tonące w morzu promieni, rozlewających się prawie po całem niebie, zapełniło powietrze niezliczoną ilością migających światełek, rażących źrenice człowieka. Tylko skowronek skąpał się z lubością w blaskach gwiazdy dziennej, wydzwaniając wysoko nad głowami naszemi swą odwieczną pieśń radości i swobody. Rozległe łany, pokryte różnorodnem zbożem kołysały się w objęciach lekkiego, wonnego powiewu łagodną, falistą linją. Łąki, a nawet moczary wyglądały zdaleka, jak ciemno-zielone, aksamitne kobierce, zasypane żółtemi i niebieskiemi kwiatkami.

Całe miasteczko powiatowe wyległo przed dworzec.

Na szynach stała nowa, błyszcząca lokomotywa, ozdobiona wieńcami i chorągiewkami. Służba przypięła do niej tylko jeden wagon salonowy, przystrojony tak samo.

Już nadeszła oznaczona godzina, a inżenier Śliwiński nie stawił się. Posłaliśmy po niego; nie było go w domu. Idź na cmentarz, może go tam zastaniesz, mówię do woźnego. Ale nie znaleziono go i na mogiłce jego syna.

Trudno czekać — trzeba odbyć formalność.

Siadamy do wagonu. Lokomotywa świstnęła po raz pierwszy w tych stronach, głośny okrzyk zgromadzonego tłumu wtórował sygnałowi, maszyna odetchnęła, jakby wzdychając, potem zawarczały koła i ruszyliśmy w drogę. Hurra, hurra! rozległo się wokoło, niech żyją pionierowie cywilizacji! wołano za nami. Za chwilę dochodził nas już tylko, jakby daleki szmer fal morskich; byliśmy het za miastem.

Po obu stronach linji przypatrywali się naszej podróży zatrwożeni wieśniacy, roztworzywszy usta. Z małych domków wybiegali dróżnicy, salutując pociąg czerwonemi chorągiewkami. Ten i ów krzyknął: hurra! a my płynęliśmy dalej, jak okręt z rozpiętemi żaglami.

Płynęliśmy z radością w sercu i z kielichami w dłoni. Naczelnik powiatu, jadący z nami, umieścił w wagonie kilka koszów wina. Perlił się szampan w długich tulipanach kryształowych, a zwilżone nim gardła uczuły potrzebę śpiewu:

— Śpiewaj panie praktykancie — zawołał jeden z inżenierów, zwracając się do mnie. Jesteś najmłodszym, tobie wesele najwięcej przystoi, śpiewaj, choćby po polsku, byle coś wesołego.

Śpiewać? Nie miałem jeszcze lat dwudziestu, naokoło mnie, na polach i łąkach oddychał każdy kłos, każda trawka życiem i weselem; we mnie kipiało wszystko: krew, mózg, uczucia, myśli, wyrywając się do ludzi, do szczęścia; przy mnie stało kilkunastu towarzyszów, rozochoconych Szampanji złocistym wyskokiem. O, tak, będę śpiewał o młodości i miłości, o tem, o czem się marzy, gdy się staje na progu dni wiosennych. Podniosłem kielich w górę, iż trysnęła piana, tworząc jakoby biały kwiat na srebrzystej łodydze.

Dalej bracia w górę szklanki,
Każdy zdrowie swej kochanki,
Biedne chłopcy, którym obcy,
Jest miłości...

Boże, co to było? Ktoś rozśmiał się na dworze, a maszynista wstrzymuje widocznie pociąg, bo lokomotywa świszcze przeraźliwie, a hamulce aż jęczą.

Biedne chłopcy, którym obcy,
Jest miłości dźwięk, ha, ha, ha...

powtarza ktoś za mną.

To inżenier Śliwiński! Poznaję jego głos, wychylam się oknem i widzę go, jak pędzi obok pociągu na koniu jednego z kolegów. Lokomotywa posuwa się już tak wolno, że ją rumak wyprzedza.

Nagle zatrzymuje się jeździec i wyskakuje z siodła. Maszynista załamuje ręce, palacz krzyczy w niebogłosy: ratujcie, ratujcie!

Zapóźno! Lokomotywa posuwa się ciągle po szynach, a na nich leży nasz biedny kolega.

Zasłoniwszy oczy dłońmi, wstrzymaliśmy oddech; grobowa cisza zapanowała w wagonie.

Za późno! Ciężkie koła przeszły już po ciele samobójcy, druzgocząc mu piersi...

Kilka minut potem stanął potwór żelazny. Gdy przybiegliśmy do Śliwińskiego, przestał już drgać. Skonał z niewymownie gorzkim smutnym uśmiechem na ustach, z wyrazem zmęczenia i wyczerpania na bladej cichej twarzy.

. . . .

Nazajutrz grzebaliśmy go na pagorku, opodal od miejsca, na którem się targnął na własne życie. Kilkuset robotników płakało głośno, sypiąc dla niego mogiłę, a gromadka chłopów szlązkich, których ubóztwo przygnało aż tu po pracę, klęczało nad zwłokami i śpiewało jak u nas, jak nad Wisłą nad Wartą: witaj Krolowo!

Warszawa, w grudniu 1883 r.

GRYZETKA.

(La bonne fille).

Wiem, co o mnie złe języki
Głoszą tu i tam...
Znam świętoszków nudnych krzyki,
Szept surowych dam...
Widzę wzrok ich srogi, mroczny,
Lecz jak o mróz zeszłoroczny
Tyle o nich dbam!..
Bawi mię ich kwaśna mina,
Faryzejskie łzy,
Bo wiem dobrze gdzie przyczyna
Ich świętości tkwi:
I ja też gdy zęby stracę, —
Swą osobą ubogacę
Zastęp świętych dusz,—
Ale dziś — o losy srogie!..
Tego, dalibóg nie mogę
Zrobić ani rusz!..
Dziś, w młodości mojej dobie
Filozofką jestem sobie,
Pokąd serce drga:
Wszystko mię zabawia, cieszy,
Wszystko mię serdecznie śmieszy —
Cha-cha-cha-cha-cha!..
Bo to szczęścia szczyt
I mądrości świt
Smiać się cha-cha-cha!..

Precz rzuciłam igłę nudną,
By chórzystką być:
Ta karjera nie jest trudną,
Gdy kto umie żyć,
Gdy kto umie z roju ludzi,
Co koło nas tam się trudzi
W duchu sobie drwić...
Najpierw tedy — recenzenta
Szept mi zaczął brzmieć,
Że tli we mnie iskra święta...
Więc mu rzekę: „wznieć,
„Wznieć ją, mój staruszku miły!..
„Dmuchaj, dmuchaj w nią co siły,
„Aż rozdmuchasz w żar!..
„Droga wprawdzie za daleka...
„Lecz dmij, — gdy rozedmiesz — czeka
„Cenny ciebie dar!..“
A więc dmie rozgłośnie w piórko
Mój staruszek, żem jest córką
Talii, w której gra
Jenjusz, — wielkie tkwią nadzieje...
A ja się serdecznie śmieję:
Cha-cha-cha-cha-cha!..
Bo to mądrość znów
Z tak naiwnych głów
Smiać się, — cha-cha-cha!..

Drugi mój wielciciel szczery
Był to wielki mąż,
Sławny z tego, że papiery
Podpisuje wciąż,
Za co jest aż senatorem!
Z większym jeszcze on ferworem
Niżli Ewie mąż
Jął zastawiać na mnie sieci...
Wszakże coś jest wart
Stary piec, gdy w nim roznieci
Ognie swoje czart:
Stałam się Danaą nową...
Nowy Jowisz nad mą głową
Sypie złoty deszcz...
Łysy Filon dla mnie, Chloi,
Kaszląc, głos do piosnki stroi
Jak pasterski wieszcz...
Lecz nic więcej... Bo duch męża
Na czyn próżno się wytęża —
Chęć tam tylko drga!..
Mój senator tak niewinny!..
Więc mię zbiera śmiech dziecinny —
Cha-cha-cha-cha-cha!..
Ten sędziwy mąż
Złotem sypie wciąż
Za co? Cha-cha-cha!

Pan szambelan, lśniący szychem
Że aż razi wzrok,
Raz przypłątał mi się z lichem...
Sledząc mię krok w krok,
Ciągle szeptał mi do ucha,
Żem jenjuszem jego ducha...
Trwało to coś z rok...
Wreszcie rzekłam: „Szambelanie!
„Zamiast miłość piać,
„Przeświadcz mię, że jesteś w stanie
„Dowód mi jej dać...
„Oto chcę w tym karnawale
„Poznać dworskie wasze bale,
„Choć gryzetką jest!..“
„O, otrzymasz!“ rzekł w pokorze —
„Jutro na królewskim dworze
„Wielkiej damy chrzest!..“
Więc widziałam uczty dworu!..
Sliczne one są z pozoru,
Lecz tam szatan gra
Jak i u nas z za kulisy,
Tylko gładsze tam są biésy —
Cha-cha-cha-cha-cha!..
Szambelanie! Dość:
Już twój dworski gość
Znika — Cha-cha-cha!..

Cóż mi szkodzi, że stosunki
Tu i ówdzie mam?
Przez nie czasem — liwerunki
Aż do sławy bram
Wziąść na siebie mi się zdarza...
Stawić tego u ołtarza,
Kto nie stanie sam...
Prosił mię raz człek z talentem
(Z swych plagiatów znan
Ale jakimś ogniem świętym
Do wielkości [illegible])
Aby, w moc swych zasług dzielnych.
Sród czterdziestu nieśmiertelnych
Siąść mógł jak ich [illegible]
Uczyniłam to z łatwością,
Bo zaszczyca mię ufnością
Ten uczony świat...
Więc na Akademji ławy
Siadł literat pełen sławy —

I w niej mowa drga
Z piersi tego, co koło mnie
Niemy, spuszcza oczy skromnie...
Cha-cha-cha-cha-cha!...
Literacie, — mów
A ja będę znów
Smiać się, cha-cha-cha!..

Więc — niech o mnie złe języki
Szepczą tu i tam...
Znam świętoszków nudnych krzyki
I surowych dam...
Widzę wzrok ich srogi, mroczny,
Lecz — jak o mróz zeszłoroczny
Tyle o nich dbam!..
Bawi mię ich kwaśna mina,
Faryzejskie łzy,
Bo wiem dobrze, gdzie przyczyna
Ich świętości tkwi!...
Niech ich język ostro siecka,
Niech ich umysł się zacieka
W mego życia ruch!..
Niechaj mówią: „nic nie kocha
Ta dziewczyna lekka, płocha,
Jak ptaszęcy puch!..“
O, ja kocham! Wie ten o tem
Żem niestałym nie jest trzpiotem,
Kto me serce ma,
Kto miłością mą się cieszy!..
A głos innych — nas tak śmieszy —
Cha-cha-cha-cha-cha!..
To spokoju szczyt
I mądrości świt —
Smiać się, — cha-cha-cha!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

MAŁPA-CZŁOWIEK.

NIEZNANA SATYRA Z XVIII W.

Satyrę, której streszczenie podaję, znalazłem w starej, pisanej księdze, złożonej z kilku rękopismów XVIII. w. razem zeszytych i oprawionych. Książkę tę podarował niegdyś p. Cezar Biernacki mojemu ojcu, który ją oznaczył w spisie swoich manuskryptów nazwą *rękopismu kaliskiego.*

Rękopism satyry dość obszerny zająłby prawdopodobnie do sześciu arkuszy druku. Tytuł jego pierwotny: *Małpa-człowiek w cnotach*, tytuł zaś późniejszy, pełny: *Satyra. Małpa-człowiek w cnotach, obyczajach i kroju.* Te dwa ostatnie wyrazy i pierwszy dopisane są tąż samą ręką, ale innym ciemniejszym atramentem. Widocznie autor pomysł swój pierwotny rozszerzył, czego dowodzi i sam wstęp, w którym o tak rozległym zakresie pracy niema wcale wzmianki [1]). Satyra, tak jak wyszła ostatecznie z pod pióra nieznanego jej autora, rozpada się na trzy części: 1) *Małpa-człowiek w cnotach* 2) *Małpa człowiek w obyczajach* i 3) *Małpa-człowiek w kroju.* Na każdą z tych części składa się kilka rozdziałów.

Kto był autorem satyry—daremnie byłoby dociekać, niema bowiem żadnych wskazówek, mogących naprowadzić na ślad nazwiska autora. Gdyby można przypuszczać, że jestto utwór którego ze znanych pisarzy, prędzejby się dało pokusić o dochodzenie ojcostwa tego dziecięcia; ale styl rubaszny, nieproporcjonalny układ, brak literackiego obrobienia, częste wreszcie powracanie do tego samego przedmiotu, nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że autor satyry, choć nie bez zdolności, nie był jednakże pisarzem z zawodu, ale tęgim szlachcicem, co ręką od korda odjętą niewprawnie ale zamaszyście, od serca i do serca pragnął przemawiać.

Parę wyrażeń tchnących niechęcią do Sasów, jakoteż wspomnienie o pełnym pobożności «królu nieboszczyku» wskazują wyraźnie pierwsze lata XVIII. w. jako czas powstania satyry. Pewna surowość i ton mentorski, jakim autor pracę swoje zabarwił, pozwalają wnosić, że w chwili kiedy jął pióro do ręki, był już mężem dojrzałym, a bodaj czy nie starcem.

Przypuszczenie to upoważniałoby do domysłu, że brał udział w odsieczy Wiednia, a może i do chocimskiej wiktorji się przyłożył. Że był to bowiem «człek rycerski,» jasny dowód w jego własnych słowach: «Czytając o wojnach i sam zaraz wojując, nauczyłem się wojować z niemałą męztwa swojego reputacją, bo pochop sercu i aplikacji wziąłem z opisanych na pochwałę naszych kawalerów akcji.» Nie można tego brać za czczą przechwałkę, boć autor starannie ukrył swoje nazwisko. Są wreszcie i inne poszlaki przemawiające za jego długim zawodem rycerskim, a najważniejszą bodaj z nich będzie stan kawalerski autora. «Żołnierz za żonę miewa szklanicę» — mówi bardzo słusznie któryś z dawnych poetów, bo stan rycerski, jak go dawniej jako zawód pojmowano, nie mógł się godzić ze spokojem domowego ogniska. Nasz satyryk widocznie był tegoż zdania, mówiąc bowiem o «stroju białogłowskim» dodaje, że ma «do tego wolność,» gdyż mu jej «przez przywilej stuły nie zawiązała żona.»

Charakterystykę autora wyciągnie sam czytelnik z mojego streszczenia satyry. Nie mogę się jednak powstrzymać od zwrócenia uwagi na kilka wybitnych rysów, cechujących jego indywidualność i przekonania.

Przedewszystkiem przyznać mu należy spory zasób odwagi cywilnej i prawdomówność. Każda prawie karta jego utworu silnie za tem przemawia, ztąd na zupełną wiarę zasługują słowa, które mówi sam o sobie: «Za drzwiami respektów wystawać nie będę.»

Szczery, prawdziwy katolik, ubolewający nad «upadkiem chwały Boskiej i nabożeństwa,» upatrujący w tem nawet przyczynę wszelkiego złego, gromi jednakże wady duchowieństwa, choć wie, że «za to prawdziwego katolika gotowi zrobić heretykiem.» Rzeczywiście, dziwne u nas dotąd jeszcze panują w pewnych sferach pojęcia. Owi Opalińskiego «liżyobrazki i zmyśleni obojej płci nabożnisie» nie pozwalają nawet wspomnieć, że ktoś gdzieś naganiał lub nagania ułomności ludzkie w osobach poświęcających się stanowi duchownemu. Przeglądając zaś dokładnie dzieła naszych katolickich pisarzy od XVI. do końca XVIII. w. na każdym kroku spotykamy się z tą słuszną czy niesłuszną naganą. Kochanowskiego *carmen macaronicum* jest jakby wstępem do całego ich szeregu. Najszerzej rozwodzi się o tej sprawie Opaliński, choć jak jam powiada:

piszę prawowierny
Katolik, z synów jeden Kościoła świętego.

Nasz satyryk wreszcie pisze prawie to samo, co podnosili i uznawali współcześni dostojnicy kościoła. Kilkunastu może laty od niego oddalony Wacław Sierakowski, biskup przemyski, następnie arcybiskup lwowski, przestrzega w r. 1741 przed «zamienianiem się świątyń pańskich w jaskinie» a potem w sprawozdaniu swojem do Rzymu (1763) uskarża się na lekkomyślne odbywanie służby bożej, narzeka, że w jego nieobecności opuszcza się wyższe i niższe duchowieństwo, wspomina o oburzeniu ludu, o kanonikach «latających po wioskach okolicznych nawet po nocach» itd. (Dzieduszycki. Żywot Sierakowskiego str. 51 i inne).

[1]) Ze sprawozdania o zajęciach naukowych, złożonego Uniwersytetowi Warszawskiemu przez p. Teodora Wierzbowskiego, dowiadujemy się, że w Królewskiej bibliotece w Dreźnie znajduje się rękopis z XVIII. wieku, zawierający kart 102 folio (sygnatura biblioteczna G. 44), pod napisem: Małpa-człowick w cnocie, w obyczajach i w kroju, to jest na kształt ludzkiej, ale nie cale ludzka wieku teraźniejszego maniera.“ K. B

Na wszelkie uznanie zasługuje rozumne i uczciwe pojmowanie przez satyryka obowiązków rządzących względem rządzonych. Dość spory traktacik: «jakim szlachcic być powinien» zawiera tyle zdrowych myśli, że obudza prawdziwy szacunek dla autora. A już najwyższy zaszczyt mu przynosi ustęp o biedzie i poniżeniu maluczkich.

«Języka polskiego obyczaj» szczerze mu leży na sercu. W ogóle wszelka cudzoziemszczyzna jest mu wstrętna i niemiła.

Uposażenie umysłowe satyryka zdaje się być dość obfitem. Wiele razy powołuje się na fakta czerpane z historji, chłoszcze dowcipnie nieuctwo kaznodziejów; Plutarchus, Diodorus Siculus są jego dobrzy znajomi. Ze czcią wyraża się o poprzedniku swoim Opalińskim: «Nie przyjdzie rzecz ta (satyra) do druku przez podłość swoją i prywatną zabawę wyrobiona. Ma ją na świecie w satyrze swoim sudanno, nader kształtnie, okrągło i rzetelnie wielki nad zamiar Opaliński.»

Skończywszy tę krótką charakterystykę autora, wypada mi jeszcze może usprawiedliwić się dlaczego streszczenia satyry dokonałem.

Literatura nasza drugiej połowy XVII. w. i pierwszej wieku XVIII-go, najmniej była i jest znaną. Po Kochanowskim, Reju, Skardze, szli prawie zaraz w następnym szeregu Krasicki, Naruszewicz, Trembecki, a próżni ztąd powstałej nie starano się długo zapełnić. Epokę panegiryzmu sądzono z pogardą i uprzedzeniem. A jednak nabywa ona coraz więcej znaczenia w literaturze, coraz więcej domaga się sprawiedliwości. Kto wie nawet czy nie okaże się zczasem najobfitszą w prace umysłowe, pomiędzy któremi może być wiele śmiecia, ale jest i wiele pożywnej strawy. Trzeba tylko szukać i szperać, a za plon obfity ręczyć można. Wszakże dopiero przed trzydziestu laty odnaleziono perłę naszej epicznej poezji: «Wojnę chocimską» Potockiego. Kochowski zaledwie w ostatnim dziesiątku lat otrzymał należne sobie stanowisko w rzędzie poetów. Z Morsztynami dopiero Małecki gruntownie nas zapoznał i uporządkowawszy chaotyczne o nich wiadomości przyznał Andrzejowi to, co miał pisać nieistniejący Zbigniew [1]). O autora «Swady» jeszcze dziś się sprzeczamy. Jemiołowskiego odnalazł w r. 1859 Bielowski, Jerlicza Wójcicki, Otwinowskiego Raczyński. Juljan Bartoszewicz podał pierwszy wiadomość w Dzienniku Poznańskim o dwóch wierszopisach polskich z XVII. wieku: Janie z Krzyszkowic i Sebastyanie Kochanowskich. Religijny wierszopis Walenty Odymalski nawet dzisiejszym historykom literatury nie jest znany lubo znał go dobrze Brodziński (Kursa literatury pols. w Uniw. Warsz.); z nowszych tylko Tyszyński poświęcił mu zaszczytną wzmiankę, na którą ze wszech miar zasługuje płynnością i siłą wiersza. Słowem, dziś każda chwila zdziera pomrokę z tej pogardzanej literatury, każdy rok przynosi jej zaszczytniejsze uznanie, każdy wzbogaca ją nowemi odkryciami.

Do tej pracy, około wyrządzenia sprawiedliwości literaturze z czasów Sobieskiego i Sasów, pragnąłbym ze swej strony się przyczynić, a ponieważ styl autora satyry dość silne na mnie zrobił wrażenie, ponieważ język wydał mi się dziwnie jędrnym i dobitnym, a treść bardzo a bardzo rozumną i poczciwą, postanowiłem więc wydobyć z ukrycia utwór choć niepierwszorzędny, to w każdym razie dorzucający co nieco do historji obyczajów i świadczący, że zdrowa myśl przebijała się ciągle przez powłokę gnuśności, nieporadności i upadku naszego w początkach XVIII. wieku.

---

[1]) Przed kilku laty wydał Dr. Wł. Seredyński wiele nieznanych wierszy ulotnych Andrzeja Morsztyna — piszący zaś te słowa jest w posiadaniu innych jego utworów dotąd całkiem niedrukowanych. K. B.

I.

Satyra rozpoczyna się od zapytania: czemu przypisać należy ogólny upadek obyczajów i gdzie się podziały starodawne cnoty ojców naszych? Oglądając się naokoło, nigdzie ich autor nie dostrzega i pyta sam siebie, gdzie je znaleść może: «w państwach i królestwach całych, w zwierzchnościach czy władzach, w płci i stanach, w zgromadzeniach czyli w osobach?» Przewiduje, że poszukiwania jego będą bezowocne. «O jak ciężkiej i nieskutecznej podjąłem się pracy! Żyć mi było z wami, strawione dawnością wieków z samemi grobami waszemi imiona, staroświeccy i poczciwi ludzie. Tam bym się był napatrzył w cnotach ludzi, w ludziach Boga, w Bogu pokoju, w pokoju wszystkich żyjących szczęśliwości, w szczęśliwościach słodkiej i spokojnej dawcy wszystkiego chwały.»

Pomroka wieków pokryła te czasy, kiedy w państwach i królestwach widziano «ową przyobiecaną ludowi bożemu ziemię, w której dla pobożności, dla zachowania przykazania swojego, dla cnoty i świętobliwych narodu obyczajów, pomnażał Pan Bóg wszelakie dostatki i obfitości, spokojnemu onych błogosławiąc zażywaniu.» Wtedy to wznosiły się w tych błogosławionych ziemiach «mistyczne trony,» a na nich zasiadali monarchowie pomni, «że lubo ich Pan Bóg nad wielu podwyższa ludzi,» to jednak chce ich mieć «w równości skazitelnej natury ludzkiej,» aby o ludzkie nad ludźmi starali się panowanie. To też w owych czasach Pan Bóg «uprzywilejował cudownemi cnotami i mocami same nawet berła, laski i insze przełożenia znaki, tak dalece, że skinienia ich, jakoby samych ordynansów i rozkazów, nietylko ludzie, ale same nieba, twarde opoki, bezdenne morza i insze elementa słuchały i w cudownem obserwowały posłuszeństwie.» Żyli wówczas pobożni Auguści, wstydliwe Bolesławy, czyści i wstrzemięźliwi Józefy, sprawiedliwi Aureliusze, gorliwi o całość państwa Alfonsi, że się już nie spomina Dawidów, Jozafatów, Barachiuszów, owe wzory bogomyślności, pokory, pokuty i starania o pomnożenie wiary i chwały boskiej.»

Wspomnienia tych znakomitych monarchów smutne nastręczają porównanie. Dziś «tron osiada albo nieodrodna od niepra wości antecessorów natura, albo sama panowania ambicja, w panowaniu ludziom ciężka potęga, w potędze własna pasyonalna wola, w woli nieznośne bezprawie, w tem przykry nieporządek, we wszystkiem bezbożne uciemiężenie i tyraństwo. Kędy miejsce pobożności zabrała bezbożność, miłości boskiej wszeteczeństwo i nierząd, wierze pozór i niedowiarstwo, sprawiedliwości bezprawie, przysiędze gwałt i nieposłuszeństwo, powadze lekkość, sercu słabość, akcyom infamia, wojnie pretekst, pokojowi wewnętrzne zamięszanie, dobru pospolitemu interes, prywatnemu ździerstwo i oppresia, całości ruina, zasługom krzywda, zgoła błogosławieństwu boskiemu same łzy i nieoszacowany krwi dostojnej szafunek.» Jaka tego przyczyna? w czem leży to złe, które wykorzenić się nie daje? Odpowiedź prosta: przyczyną złego jest ogólny upadek cnoty. Monarchowie połączeni są ścisłym węzłem ze swoim ludem, są kością ich kości, krwią ich krwi. Jaki lud, taki monarcha: przedtem «ludzie według Boga bywali, a według ludzi królowie, według tych zaś Pan Bóg dla ludzi». Winy ludów spadają na monarchów i odwrotnie: «dla ladajakiego monarchów życia całe, choć niewinne Pan Bóg zwykł karać narody.» Dla ladajakich poddanych król dobry, dla złego króla dobrzy poddani być nie mogą. Poszanowanie majestatu nie dozwala pisać «co się teraźniejszych lat przez nieprzyzwoitą zwierzchność w różnych państwach i królestwach dzieje.» Wyręcza się więc autor słowami «poety,» którym prawdopodobnie sam będzie. Poeta zadługo rozprawia, aby przytaczać wiersz cały *in extenso*. Oto niektóre wyjątki.

Nie na królestwa, licz teraz na groby
Najwyższej ziemie poddane zwierzchności,
Gdzie tylko smutne kiry i żałoby,
Albo po polach widzieć martwe kości,
Gdzie Mars wyssawszy z ludzkiej krew wątroby,
Albo głód, zjadłszy do szczętu wnętrzności,
Łakomym cały zbiór zagarnął łupem,
A tylko samym miejsca usłał trupem.

Gdzie pokój i czas zmierzywszy spokojny,
Własnym popiołem ozdoby zagrzebła
Niesprawiedliwej chęć prywatna wojny.
I lub interes nie zaważył ździebła,
Szafunek na to odważyła hojny,
Ażeby ludzi tysiącami grzebła,
Albo zrzuciwszy łaskawość z natury,
Ledwo ich z własnej nie odarła skóry.
. . . .
Gdzie drab, w niekarnych brykający zbytkach,
W domu i w cudzej wolność wszelką żenie, [1])
W gumnach, w szpichlerzach, w oborach, w dobytkach,
Na zażywanie ma i obelżenie:
Ani w świątnicach pańskich i przybytkach,
Gdzie czcimy ciała boskiego złożenie,
Dyskretniejszego zwykł zażywać serca
Szarpacz, gwałtownik, zbójca i morderca:

Gdzie poświęcone kościoły na szkapy;
Na pojedynki i bitki cmentarze,
Na proste wyrki [2]), łóżka i kanapy
Poobracano straszliwie ołtarze;
. . . .
Gdzie słudzy boscy, pobożni kapłani,
Przez nieuczciwą charakteru wzgardę,
Metresom służyć pokonfundowani,
Albo chędożyć muszą kurdygardę,
A z domów własnych sędziwi plebani,
Ledwo nie na łeb skakają przez dardę,
Miejsca i wygód ustępując wielu
Dla nieprzystojnych maszkar i......

Gdzie wiara ślubów stwierdzona przed Bogiem
Już nie za swojem w zażywaniu prawem,
Ale za wolnym zwierzchności nałogiem
Kontraktem chodzi, arędą, zastawem;
A męże, włoskim uraczeni rogiem,
Skwasiwszy tylko wejrzeniem łaskawem
Ową dorodną i uczciwą minę,
Przez ścianę muszą cierpieć oskominę.

O! trony, trony! — trumny raczej rzekę,
W których szczęśliwość krajów leży trupem,
W tęż-to wam Pan Bóg podał ich opiekę
Z ludźmi drogimi krwi swojej okupem?
. . . .
Tyle przemysłów w otchłań wojny wchodzi,
Niesprawiedliwych w przemysły sposobów,
W sposoby tyle Mars potyczek zwodzi,
W potyczkach tyle sypie mogił, grobów,
W groby tak wielu ludzi z świata schodzi

[1]) Wypędza, wygania, od *żonąć*.
[2]) Tapczany, prycze.

Za ludźmi tyle łez płynie Niobów:
Osierociałych żon, matek, powinnych...
. . . .

Poeta kończy zapytaniem: jak taką «machinę» zaniosą monarchowie tam, gdzie wypadnie płacić duszą «najmniejszą odrobinę?» — i dodaje napis, jakiby położyć można na nagrobku złego monarchy:

Tu leży wielki król honorem wszędy,
A dusza jego — djabeł sam wie kędy.

Od tronów przechodzi autor «do najbliższego majestatu dostojeństwa,» do senatorów. Wspomina owych rzymskich *patres conscripti*, co ojcami ojczyzny «nie na pozór mogli się nazywać,» o dobro bowiem pospolite więcej dbali, niżeli o dobro własnych dzieci, «życie i wszystko swoje prywatne niżej od niego pokładając.» Cnota, zasługi i pobożność byłv stopniami do senatu. Takie tylko państwo potęgą i powodzeniem zaważy, «w którem wszystkie stany na jeden dobra pospolitego ważą się interes.» To jest: nic dla siebie, nic dla pana, nic dla Rzplitej bez pana partykularnie nie usiłując, ale tego wszystkiego w jednym pospolitym szukając pożytku.» Dlatego to sławną i straszną była Rzplita rzymska, bo stała zgodą powszechną i «radą senatu skuteczną, skuteczną — bo zawsze doskonałą, doskonałą, — bo nieprzewrotną, nieprzewrotną — bo interesowaną, interesowaną — bo ostrożną i uważną, uważną — bo od ludzi doskonałych i przez wszystkie okoliczności czasu i stanu wypróbowanych pochodziła.» Cnota to do godności senatorskiej prowadziła, cnota to przekazała dziejom «owe nieśmiertelne w senacie i na urzędach nieumierające Fabrycyuszów, Torkwatów, Brutusów, Fabiuszów, Korneliuszów i insze nomina.»

«A że o tem mówi się po polsku, wejrzyjmy też i na dawne Polaków nagrobki, a wzbudźmy w pamięci owe zeszłe przez krzywdę wieków Zasławskich, Ostrogskich, Zborowskich, Żółkiewskich, Tarnowskich i insze stojące jeszcze chwalebnie w wielkich sukcesorach imiona, których pobożności, świętej munificencyi, walecznych czynów i obfitych w tryumfach awantażów dowodem i wiekopomną stoją pamięcią owe kunsztowne i wyśmienite kościoły, opatrzne klasztory, dostatnie cenobia [1]), niedobyte fortece, liczne ammunicje i insze Bogu i Rzplitej poświęcone bazyliki [2]) i fundusze.» Zazdrościć pozostaje przeszłym wiekom tych mężów sławnych. W kosztowne ich fundacye nie wchodziło mienie nabyte krzywdą bliźnich lub złupieniem innych fundacyj, — grosz uczciwie zapracowany lub zdobyty na nieprzyjacielu krzyża świętego był podstawą ich majątku, a zarazem środkiem do zapisania się w pamięci potomności. Nie dla zadowolenia własnej próżności, «ale z czystej ku dobru pospolitemu miłości, ochoty i rezolucji wszystkie ich czyny pochodziły.» Senatorowie nie słodzili «słów ucukrowaniem gorzkiego ludowi panowania,» ale wiedzeni duchem prawdy i wolności, kołatali dla niego o sprawiedliwość. Hetmani «szablą, nie buławą dokazywali.» nie szczędząc krwi swojej dla dobra ojczyzny. «Nie pocztowali [3]) przewrotom dworskim,» ale robili co publiczna wymagała potrzeba. Laski «nosiły „posturę" żywej władzy, a nie prostych drągów.» Słowem «wszystkie akcye rzecz i pozór cnót wszystkich miały, a cnoty prawa «następującym wiekom dawały.»

Jakżeż dalecy są od tych pierwowzorów dzisiejsi senatorowie! «Zgineła cnota w uczynkach, bezpieczeństwo w radzie, prawda w ustach, powaga w senacie, prawo w urzędach, godność w honorach, w osobach wszystko, co przedtem bywało.» Każdego z tych swoich twierdzeń dowodzi autor po kolei. Mocno go

[1]) Pustelnie. — [2]) Gmachy. — [3]) Służyli, dopomagali.

gniewa upadek bezpieczeństwa w radzie, «bo któż teraz radzi i mówi co słuszność każe... Jednym bojaźń zęby przycina, drugim usta respekta krępują... wszyscy prawie radzą, co muszą, co sercu i woli najwyższej przyjemno. Próżne panegiryki, wielbienia klemencji pańskiej, ojcowskiego około dobra pospolitego pieczołowania, fatyg, odwagi i zdrowia na nie dyspensowania... Ustawiczne dygi, z..... od krzeseł i drążków podnoszenia, i owe za każdym punkcikiem, aż słuchać przykro, ciągnące się: *Najjaśniejszy miłościwy panie, panie a panie nasz miłościwy*, inwokacje, zatrudnią czas i zabiorą, aż tandem rzecz zbawienna skończy się na niczem »

Następuje anegdotna na temat: «zgineła prawda w ustach.» Niedawno szlachcic «słuszny,» na funkcyi ziemi swojej będący w Warszawie, otrzymał bolesną wiadomość, że dom mu z kretesem zrabowano i córkę 15-letnią zgwałcono. Kiedy poszedł upomnieć się o krzywdę swoją, król, widząc boleść na jego twarzy, a nierozumiejąc po polsku, zapytał obecnego senatora «czegoby szlachcic potrzebował? Zapytany senator odpowiedział, że szlachcic prosi o to, aby mu wojska przez wioski jego przechodzące nie szkodziły, a zwróciwszy się do niego, oznajmił w imieniu królewskiem, że król krzywdy mu wynagrodzi i że się nie zawiedzie na swojej wierności. Odpowiedź tę król skinieniem potwierdził, i szlachcic odszedł przekonany, że panu krzywdę jego przedłożono. Dopiero powróciwszy do domu, przekonał się, jak go oszukano, gdy mu przy nim samym «onegdajszego poprawiono.»

Pod upadek «prawa w urzędach» podciąga autor kradzież grosza publicznego. Złożenie rachunków sarbowych nie kończy się na zwykłem podziękowaniu *pro exacta fidei publicae functione*. Po złożeniu urzędu każdy się zapytuje: «zkądeś te albo owe dobra kupił? nie mając na nie z intrat i dochodów substancji własnej? Zkąd waszmości córki tak drogi i kosztowny parter noszą i dzwigają na sobie? Zkąd tak wielkie posagi i wyprawy idą za niemi?»

Zginęła godność w honorach, bo niezasłużeni, lecz pochlebcy i sługusy je biorą. Kosztem własnego a często i małżonek swoich honoru dostępują zaszczytów, pną się na najwyższe stanowiska. Jednem słowem, senat utracił swą powagę i swe znaczenie, bo w ludziach piastujących buławy, pieczęcie i laski, rozpierających się na krzesłach i drążkach «zginęła doskonałość antecessorów» i to tak dalece, że tylko ich nazwiska w potomkach zostały, «nakształt owych pustych, a pozornych i obszernych bardzo stodół, z których gacek albo sowa czasem wyleci, ale na targ, dopieroż do Gdańska nie masz co wyprawić.» A z imion tych odziedziczonych płynie niepotrzebna chluba i wynoszenie się nad równość. Oto jak ostro smaga satyryk te wady:

«Na imię i zasługi antecessorów pełno w nas chluby, dumy, i presumpcji, emulacji i pospozycji równości, ale cnoty imieniowi należącej najmniejszej czasem nie domaca się odrobiny publiczna Rzplitej, ba i prywatna przyjacielska potrzeba. Ztąd śmiechem zbywam owe ad genium teraźniejszego wieku zagęszczone w posiedzeniach i zgromadzeniach wyniosłe rodowitości swojej *Magnificat*, tudzież silące się w konkurencjach według niej o miejsca, o honory i o jakieś extraordynaryjne poszanowania, pretensje. Jakoby to wszystko imieniowi samemu służyć miało, co cnocie, zasługom i chwalebnym należy przymiotom. A oto widujemy w kałużach miesiąc, widujemy i promień słoneczny w smrodzie, a przecież dla udzielonego temu obojgu światła, jaśnie oświeconą nie nazwiemy paskudy. Pójdzie promień za swojem słońcem, dokąd go bieg zwyczajny obróci, a plugastwo żadnej z niego nie nabrawszy istoty, smrodem na swojem miejscu zostanie. Jako i ów parenteliacik, nie wziąwszy nic w siebie z cnót i godności antecessorów swoich, gnojkiem zawsze będzie, albo owym bobkiem, co to ni śmierdzi, ni pachnie, a przecie pretenduje, aby go za pomarańczę ważono i szanowano. Wiemy bardzo dobrze, miły specyale, choćbyś tak dumno nie powiadał o tem, że twój dziad, pradziad, stryj i tam inszy z czoła antecessorów używał tytułu *jaśnie wielmożnego, jaśnie oświeconego*, różne krzesła zasiadał, buławy, pieczęcie i laski nosił, — ale też i to wiemy, że na tych miejscach wielka go z cnót, przymiotów i zasług w ojczyźnie godność należycie osadziła. Wiemy, że na zaszczyt wiary św., wolności, równości szlacheckiej i dobra pospolitego szczerze krew swoją i substancyą szafował, trudne nią mury i przeprawy oblewał, wojska nieprzyjacielskie odważnie wojował, wiązał i znosił, chleba obficie i ludzko nie żałował, wszelkiej przyjaciela dzielił się i dogadzał potrzebie. Wiemy, że go tak wysoko utytułowały i oświeciły jasne na cały świat akcye, ale też i to bardzo dobrze widzimy, że te wszystkie aż do ostatniego przymioty w tobie, panie wnuczku zgasły, że życie twoje zasmrodziła i ściemniła gruba niecnot pomroka. Twój przodek, powiadasz, nieprzyjaciół wojował, w niewolę i z nich łupy obfite zabierał, mężnem sercem w okazyach stawał, — a ty szlachtę wojujesz, na wartach stawiasz, żony i córki ich w egzekucyach bierzesz, sromocisz i paskudzisz, w domach cudowne sposoby exorbitujesz [1]), dobra ich i Bogu poświęcone łupisz, z okazji [2]) na pierwszy głos trąby bez czoła, bez serca uciekasz, substancji zacnie z przodków nabytej ladajako i niepoczciwie zużywasz, b...... podwiki i wszelkiego nierządu pilnujesz, pijaku, kostyro, niecnoto, niewstydzie i obmierzły kiernozie! a jeszcze tytułem i prawem cnoty sam się z tego chełpisz, nad równość nadymasz i jakiejś między ludźmi dystynkcji pretendujesz. Wiemy bardzo dobrze, bo się tego w dawnych dziejach naczytamy, że przodek twój wszelaką na całe życie bez najmniejszego zakału słynął reputacją, — ale w tobie przemierzły z.... ledwo tyle znajdzie się humoru, ile w nadętym i kilką ziarnek grochu napchanym pęcherzu: churkotania, hałasu i grzmotu siła narobi, niezdolnego szczura albo kota aż za dziesiątą popędzi granicę, a jak się go koniec szpilki dotknie, zaraz owa nadętość i para gdzieś się z niego podzieje, a sam się w momencie w mizerny flak skurczy i obróci»

Jak żywo ten ustęp przypomina satyrę Opalińskiego: «na wyrodków familji swoich». Pan wojewoda poznański również jest zdania, że końcówka «na *cki* lub *ski* nie czyni szlachcica, ale cnota, przystojność.»

.... pozwalam mości panie
Żeś wojewodzic, aleś oraz pijanica,
Kostera, wszetecznik i srogie ladaco.
Nie tak po wojewódzku żyją.....
. . . .
Bez ozdób twoich przodków pokaż co wzdy umiesz,
Czyś do rady, czy do zwady, boju czy pokoju.
Czy tylko chcesz, abyśmy twoim się kłaniali
Tytułom, ktore Dziadom twym służą, nie tobie?...

Czy jednak temu wynoszeniu się ponad równość szlachecką jedynie na mocy zasług przodków, winni tylko sami panowie? Ze smutkiem wyznać trzeba, że wina tu obopólna: panów — że się wynoszą, szlachty — że się im kłania i adoruje. Do zastraszających rozmiarów rozwinęło się u nas wstrętne pochlebstwo, z ujmą prawdy i godności człowieczej. «Czy małoż temi czasy gada do ludzi panegiryków i panegirystów, z krzeseł, stołków, katedr i poświęconych św. Ewangelii ambon oratorów, w różne a ledwo nie przyzwoite samemu Bogu sposoby: *tu pater patriae. tu prospice cunctis, te divum conscripserat honos, tu purpura sagus, te pariter et toga decet* i tam dalej, aż się na żołądku zwija. A oto mój miły *pater* nie ojczyzny ale z ojczyzny ojciec dla licznych dziasek swoich, a często w tych zepsowanych czasach nie dla wszystkich swoich, w różne przemysły, przebiegi, inwencje i sposoby

[1]) dopuszczasz się nadużyć. — [2]) bitwy.

doi, skubie (a że terminem jednego poczciwego szlachcica rzekę) kastruje tę miłą matuchnę, aby jej i to naostatek odjął, czem by się potem pomnożyć mogła. A mój *pater patriae* po cudzych ojczyznach, krajach i narodach spekulując, a imieniem wolnego syna przez abominacją równości womitując, rząd dawny i prawa ojczyste taksuje, mataczy, reformuje, i w niewolę panowaniu przyjemną oczywiście i sekretnie sposobi. A mój *pater conscriptus* nietylko radzi, ale się i pisze na zdradę ojczyzny, na interes z publicznego prywatny, na mutacją status, na handel wolności, a prawie już na samego absoluta. A mój *purpuratus* dla przewrotnych i niepoczciwych akcyj swoich nie bisior ale wstyd i sromotę, albo krew braci przekleństwem izraelskiem na siebie i radę swoją spływającą w purpurze nosi. A mój *togatus* w publicznym pokoju prywatne niezgody, dissensje, difidencje, zamięszania, kłótnie, zabójstwa, do swego awantażu albo do publicznego sposobi upadku. A mój *sagatus* we krwi łowi, śmiercią żyje, z wojny pokoje, pałace i dwory buduje, pieniądze, apparencje i dostatki gromadzi, pobratymstwa z nieprzyjacioły i różne interesa wyrabiać praktykuje, kolosy sławie swojej albo trony potędze i imaginacjom stawia i eriguje, zgoła krótkiego sagu [1]), i kuszy [2]) w domu i rzeczach swoich kurty — na szlak dłuższy pociągnąć i poprawić usiłuje. Dlaczego radby, i tak pewnie wyrabia, aby utrapiona ojczyzna z kłótni swoich, z zamięszania i nieszczęśliwego odmętu nigdy nie wychodziła, w którymby mógł ustawicznie aż po uszy bobrować, łowić i pożytkować».

K. Bartoszewicz

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) szaty. — [2]) kusa suknia, kurta.

OSTATNI PIASTOWIE SZLĄSCY.

W Zeszycie I. tomu XI-go na str. 120 i nast. i w zeszycie II. tegoż tomu na str. 275 i nast. Rocznika Wrocławskiego Towarzystwa dla historji i archeologji Szląska [1]) podaje Dr. C. A. Schimmelpfennig, ewangelicki proboszcz w Arnsdorf, w dwóch artykułach dokładne bardzo, a nader zajmujące wiadomości o ostatnich Piastach na Szląsku. Użył on do tej roboty materjałów znajdujących się w krol. rządowem archiwum szląskiem w Wrocławiu, a mianowicie: świeżo uporządkowane archiwum domowe książąt na Lignicy i Brzegu, akta dotyczące odnośnych wsi, fascykuł aktów dotyczących się rodziny von Sitsch i akta miasta Nisy.

Mogą przez niego zebrane wiadomości być wiadomemi uczonym badaczom, zdaje mi się jednak, że szerszej naszej publiczności zupełnie są nieznanemi i to mnie spowodowało do podania ich tutaj w streszczeniu i w zupełnie zmienionej redakcji. Podaję jednak wiernie całą treść wspomnianych artykułów, bo sądzę, że nawet szczegóły o majątkowych i domowych stosunkach tych książąt nie będą bez zajęcia.

Jak autor, z którego czerpię, wprost bez wstępu do rzeczy przystępuje, tak i mnie za daleko by wiodło, gdybym tu chciał wszystkie dzielnice wyliczać, na które rozszczepili się potomkowie Władysława i przytaczać kiedy która wygasła, ograniczę się więc na przypomnieniu, że Świdniccy i Jaworowscy ks ążęta wymarli z Bolesławem Małym r. 1667, że księstwa Munsterbergskie i Funkensteinskie po śmierci ks. Jana w r. 1443 przypadły Koronie, a przez króla Władysława Pogrobowca linji opawskiej nadane, powtórnie wygasły ze zgonem ks. Ernesta Przemysława. Opawscy i Karnkowscy książęta wymarli r. 1469. Ostatni Opolsko-Raciborski książe Jan umarł r. 1532. Cieszyńscy wygaśli r. 1625 ze śmiercią ks. Frydryka Wilhelma, a najdłużej istnieli Piastowie na Lignickiej, Brzeskiej i Wolawskiej dzielnicy.

Z synów bowiem ks. Joachima Fryderyka i Anny Marji księżniczki Anhaltyńskiej:

Jerzy Rudolf, bezpotomnie z Elżbietą Magdaleną z książąt Muensterberg-Oels [2]) ożeniony otrzymał Lignicę, a

Jan Chrystyan brat jego, ur. 1591, po odbyciu nauk w Strasburgu, po znacznych podrożach i po pobycie na dworze Henryka IV. francuskiego, zaledwie 18-letni objął rządy Brzegskiego i Wolawskiego księstwa. Żona jego Dorota Syballa córka Jana Jerzego Elektora Brandeburskiego (poślubiona r. 1611) przez czas 14-letniego pożycia powiła mu 13-cioro dzieci i odumarła dnia 19 marca 1625 r.

Z tego potomstwa *Sybilla Małgorzata* ur. 13 Czerwca 1620 r. poślubiła hrabiego Gerharda Doenhoffa wojewodę pomorskiego, Malborskiego, Welińskiego, Lucieńskiego itd. Starostę [3]).

Zofia Magdalena ur. 14 Lipca 1624 była żoną Karola Fryderyka ks. na Muensterbergu. Co do synów: *Jerzy* † 1664 książe na Brzegu, z pierwszej żony Zofii Katarzyny ma córkę Dorotę Elżbietę poślubioną w r. 1664 księciu Henrykowi Nassau-Dillenburg, a drugą żonę Maryę Elżbietę Karolinę księżną von Pflaz-Simmern pojął w r. 1660.

Ludwig książę na Lignicy, ożeniony z Anną Zofią księżną Meklemburgską, umiera bezdzietny r. 1663.

Chrystyan † 28 Lutego 1672. Żona Ludwika księżna Anhalt, połączywszy wszystkie trzy księstwa, przekazuje je swemu synowi

Jerzemu Wilhelmowi ur. 1660 † 21 Listopada 1675, po którym Lignica, Brzeg i Wolawa jako opróżnione lenna do czeskiej korony wróciły.

Cała ta linja szląskich Piastów była wyznania helweckiego.

Lecz ten ostatni panujący książe szląski nie był zarazem i ostatnim Piastem. By o ostatnich zasięgnąć bliższych wiadomości, wróćmy się do zacytowanego powyżej księcia Jana Chrystyana.

Owdowiawszy w 34 roku życia, nadzwyczaj moralny, nienagannych obyczajów, a przedewszystkiem domowego szczęścia pragnący, powtórne chciał zawrzeć śluby małżeńskie i jak się akta wyrażają «nie tak dla zewnętrznej piękności ciała, jak dla jej wybornych cnót, szczególną, serdeczną miłość powziąwszy» dla Anny Jadwigi von Sitsch, dziewicy szlachetnego rodu, pojął ją za żonę.

Podobne związki szląskich książąt nie były rzeczą niezwykłą. Oprócz powyżej wzmiankowanej Małgorzaty Sybilli córki właśnie Jana Chrystyana, o którym tu mowa, żony Denhoffa, była jedna z córek Fryderyka III. księcia na Lignicy za Zygmuntem baronem Kurzbach, a Mikołaj ks. Muensterberski (1341 do 1346) poślubił Agnieszkę Kruschina von Leuchtenberg.

Ród Sitschów (Sitsch, Sitsche, Siczsen, Siczin) należał w księstwie Strzelce do staroszlacheckich i występuje w tamtejszych aktach od r. 1340. Na końcu XIV. wieku posiada on Krumendorf, od połowy XV. polnisch Jaegel, a od r. 1467 do 1616 można nieledwie z dokładnością wywieść jego procedencyą z dokumentów.

---

[1]) Zeitschrift des Vereines für Geschichte und Altertum Schlesiens, Namens des Vereines herausgegeben von Dr. Colmar Gruenhagen. Breslau. Josef Max et C-ie 1871. 1872.

[2]) Pisząc nie w kraju, a przez to nie mając pod ręką potrzebnych dzieł pomocniczych, nie jestem w stanie nazw niemieckich niektórych księstw, miast i wsi szląkich zastąpić polskiemi, któreby żadnej wątpliwości nie ulegały. Wolę przeto ograniczyć się na podaniu nazw tak jak je nasz autor w swej pracy zamieścił.

[3]) Także Starosten von Bern, Schoenek.

Zdaje się, że Fryderyk von Sitsch auf Polnisch-Jaegel † 1568 miał dwóch braci niewiadomego imienia. Jeden z nich nabywszy Stiebendorf, daje początek linji z tego majątku się piszącej i jest ojcem Jana, ur. 1552 † 1609, który się duchownemu stanowi poświęcił i od r. 1601 przez 8 lat na wrocławskiej, biskupiej stolicy zasiadał.

Fryderyk zaś miał trzech synów. Z tych średni Fryderyk II. † około 1590 dziedziczy Polnisch-Jaegel, ale mu się nie wiedzie, syn jego Fryderyk III. † 1609 pozostawia swą żonę Annę von Pogrel z 7-iem nieletnich dzieci i z majątkiem odłużonym 12.000 talarów. Mimo zabiegów i oszczędności nie może go ona uratować i takowy przechodzi w r. 1615 do jej krewnych Pogrel auf Deutsch-Jaegel. Dwaj drudzy synowie Fryderyka I. przenoszą się do księstwa Nisy. Najstarszy Gabryel posiada już w r. 1569 dobra Freiwalde, najmłodszy zaś Adam występuje na początku XVII. wieku jako dziedzic obszernego państwa «Bilaw».

Drugi brat Fryderyka I. także niewiadomego imienia był ojcem Jerzego Sitsch von Polnisch-Jaegel, biskupiego starosty Otmachowskiego; biskup go też bratankiem, Vetter nazywa.

Pomimo że ta linja była augsburgskiego wyznania zostawał biskup z nią w najserdeczniejszych stosunkach. Nietylko, że Jerzego mianował swym starostą (Hauptmann auf Atmachau) ale gdy w r. 1601 gracyalne dobra Eilau, po śmierci dożywotnika do kapituły wróciły, nadał je w uznaniu wiernych i pożytecznych służb, które jego Wierność, uprzejmie nam miły, stateczny, szlachetny Jerzy von Sitsch und der Polnischen Jaegel, starosta Otmachowski nasz bratanek nam i kościołowi świadczył i w przyszłości kościołowi świadczyć może, chce i powinien [4]), temuż Jerzemu, synowi jego Fryderykowi i wnuce jego a Fryderyka córce Annie, w wolne od wszystkich ciężarów dożywocie, zastrzegając jedynie, że po ich zejściu, majątek ten znów w posiadanie kościoła powróci.

Ale biskup nie niewdzięcznego obdarzył. Już w r. 1603 gdy biskupi skarb był próżny a trzeba było cesarzowi wojenne subsidia (Kriegsgelder) płacić pomógł i Jerzy i Adam Sitsch von der Polnischen Jaegel, dziedzic Bilawy, każdy 2000-mi talarów, za co znów im biskup stołowe swe dobra zastawem puścił. Pierwszemu folwark Martwitz cum fundo instructo, od Otmachowa tylko $^1/_4$ mili odległy, drugiemu zaś wieś Bilitz.

Syna starosty Jerzego, Krzysztofa mianował biskup swym radcą i nadwornym marszałkiem w Nisie, a umierając pozostawił swej rodznie ogromną na owe czasy sumę 84.000 talarów. Po śmierci jednak biskupa Krzysztof ze swych posad rezygnował.

Rok zejścia starosty, który jeszcze przed śmiercią kupił na własność wieś Starwitz nie jest wiadomym.

Syn jego umiera w Grudniu 1611 r. pozostawiając swą wdowę Annę von Pogrel i troje dzieci w najkorzystniejszych majątkowych stosunkach. Z dzieci tych:

Anna Barbara † 1660, na którą brzmiał ów zapis biskupa żona Henryka von Reideburg, ochmistrza dworu ks. Doroty Sybilli, pierwszej żony Jana Chrystyana księcia Brzegskiego syna zmarłego w Osterrode r. 1637 któremu tamże na pomniku napisano, że jest ostatni z rodu [5]) i Annę Jadwigę urodzoną dnia 13 Stycznia 1611 potem żonę księcia Jana Chrystyana.

Ciąg dalszy nastąpi.

[4]) Der gestrenge, ehrenfeste Vetter und lieber Getreuer.

[5]) Że familja ta wygasła twierdzi i Henelius w swej Silesiographii, mówiąc, że w kościele w Brzegu jest pomnik ostatniego jej potomka, zapewne z linji Fryderyka I., o którym było powyżej.

Ruch muzyczny.

Koncerta. We środę dnia 16 kwietnia zawitał do rodzinnego miasta i dał tu koncert po kilkoletniej pauzie ziomek nasz, znany i powszechnie ceniony pianista i profesor wiedeńskiego konserwatorjum p. Emil Śmietański. Poważny i bogaty program koncertu zawierał po większej części utwory klasyczne. Gra p. Śmietańskiego odznacza się pod względem technicznym wybornem wyrobieniem rąk, pysznemi oktawami, szybkością i delikatnością a zarazem elastycznością uderzenia; pod względem zaś pojęcia: dobrem frazowaniem, elegancją, spokojem ,wytrawnością, sumiennem zgłębieniem myśli kompozytora i pięknem cieniowaniem.

Koncertant jest krakowianinem i początkowo tu się kształcił na swym instrumencie, następnie zaś w Wiedniu u prof. Pirkerta. Artysta ten jest przedewszystkiem dobrym wykonawcą klasyków Bacha i Beethovena, chociaż i nowych kompozytorów świetnie interpretuje. Koncert rozpoczął się Sonatą Nr. 2 (op. 53) Schuberta. Utwór ten trochę przewlekły został ze zrozumieniem wykonany. Z bogatego i urozmaiconego programu wykonał koncertant najlepiej Toccatę D-moll Bacha w transkrypcji Taussiga, Chopina Etudę Nr. 2, szczególniej zaś pięknie wyszła Schumanna „Pieśń wieczorna" w trudnej transkrypcji Raffa. Szóstą Rapsodję Liszta wykonał p. S. ładnie, lecz naszem zdaniem, brak było tu ognia, temperamentu.....

Koncertowy fortepian na ten wieczór przysłała umyślnie fabryka Schweighofera w Wiedniu, lecz instrument ten osłabił całe wrażenie świetnej gry p. Śmietańskiego. Jak się pokazało, fortepian ten w drodze przez wilgoć wielce ucierpiał, co było powodem, iż miał taki dziwnie mdły dźwięk.

Współudział w tym koncercie wziął p. Aleksander Bandrowski, artysta opery lwowskiej. P. B. posiada bardzo przyjemny tenor liryczny o niezbyt rozległej skali lecz o sympatycznem brzmieniu. Artysta ten odśpiewał dwie piosnki Donizettego t. j. „Melancola" i „la Negra" jakoteż Żeleńskiego z teki Józefa Kościelskiego „Wieje wietrzyk po polu" op. 26. Nr. 3 i „Dzieje serca" op. 26 Nr. 2.

W dniu 25 kwietnia przybyli do nas i dali koncert w teatrze krakowskim tak zwani studenci hiszpańscy, „Estudiantina Espanola" grając na banduryach (rodzaj mandolin 12 strunowych), gitarach i skrzypcach, śpiewając piosnki studenckie i wykonując taniec (?) narodowy (?). Nie należymy do miłośników podobnej ckliwej i rozdrażniającej nerwy muzyki, przyznać atoli musimy, iż ensemble wypadło dobrze, widać wprawę i pewne wgranie się razem, szczególniej zaś w zakończeniach diminuendo i inne cieniowania efekt budziły. Gitara, cytra, mandoliny itp. instrumenta, dziś już zachwycić nie mogą, wyrugowano je z estrady koncertowej zupełnie, na której zresztą nie mają już nawet racji bytu. Śpiew panów studentów był wrzaskliwym krzykiem, a taniec kwalifikował się do przedmiejskiego ogródka. Dnia 5 maja panowie „studenci" zamierzali pawtórzyć jeszcze swoją produkcją i dać koncert w teatrze krakowskim, lecz koncert nie przyszedł do skutku, z powodu, iż nie było publiczności, a biletów nie rozkupiono.

W piątek dnia 2 maja urządziło krakowskie Towarzystwo muzyczne wieczór muzykalny polski tj. wykonano na tym wieczorku wyłącznie dzieła polskich kompozytorów. Myśl podobnych wieczorków jest dobrą, lecz dawania samych odgrzewanych rzeczy nie pochwalamy. I tak kwartet smyczkowy Żeleńskiego, „Znasz li ten kraj" Moniuszki „Chopina rondo na dwa fortepiany i Noskowskiego „antrakt i chór prządek" były już po kilka razy wykonywane. Nowym numerem programu był tylko Moniuszki tercet na głosy męzkie z „Strasznego dworu," który to atoli tercet wykonano bardzo niepewnie, szczególniej zaś pan Reich w partji barytonowej ciągle detonował. Uczennice p. Żeleńskiego panie Brodecka i Lorenowicz wykonały poprawnie rondo Szopena na dwa fortepiany i zasłużone zbierały oklaski. Najmilszym ustępem tego wieczorku, który prawdziwie świetnie wypadł, była deklamacya p. Pysznik, artystki sceny krakowskiej. P. P. wygłosiła pysznie wierszyk „Czy ja wiem?" „Trzpiotkę" Bałuckiego i „deklamować to nie warto."

Oj warto deklamować, gdy kto tak pięknie wygłasza i tak huczne zbiera oklaski. Sympatyczną artystkę wywoływano kilka razy. Innych ustępów wieczorku jako już zbyt znanych, żeby się nie powtarzać, ocenę opuszczamy.

Maurycy Sieber.

Z TEATRU.

Siedmiomiesięczny sezon zimowy krakowskiego teatru z dniem 1-ym Maja zakończył się.

Ale nim się zakończył, teatr dał nam jeszcze parę przedstawień bardzo ciekawych i poważnych.

W dniu 5 kwietnia, na dochód orkiestry krakowskiej przedstawiono rzecz bardzo na polskiej scenie rzadką, bo dramat włoski. I nielada to dramat, imię bowiem jego autora, Giacommettiego, zawdzięcza temu dramatowi rozgłos europejski.

Skazaniec jest stanowczo dziełem o tyle wyższem od współczesnych t. z. „dramatów,“ zwłaszcza paryskiej fabryki, obracających się wiecznie i banalnie około tematów grubo-erotycznych i oklepanych przeniewierstw małżeńskich, o ile prawda wyższą jest od fałszu, natchnienie od rzemiosła, światło słoneczne od blasku choćby miljonów latarni gazowych.

Osnowa dramatu jest bardzo prostą i nieskomplikowaną, co znowu stanowi dowód, że prawdziwy talent nie potrzebuje zbyt misternego aparatu mechanicznego, aby się w całym blasku ukazać. W *Skazańcu* niema wcale tłumów, zbiegowisk itp. zmysłowych efektów scenicznych. Jest w nim bardzo niewiele osób działających: parę głównych i parę podrzędnych, a przecież wrażenie, jakie sprawia na widzach jest głębokiem.

Treścią dramatu są losy człowieka imieniem Corrado, którego dusza była skarbnicą najszlachetniejszych uczuć, który mógłby był być pełnym miłości i poświęcenia małżonkiem, ojcem rodziny i obywatelem, lecz który za popełnioną w chwili uniesienia zbrodnię skazany został na śmierć cywilną, bo na dożywotnio galery. Straszne tego człowieka cierpienia, okropne katusze doznawane w kilkunastoletniej kaźni z jednej strony, z drugiej zaś cierpienia biednej jego żony Rozalji, z miłości dla której Corrado popełnił zbrodnię, a która skazaną została wraz z dzieckiem na nędzę, tułactwo, obelżywe zabiegi i oszczerstwa złych ludzi, oto oś główna, około której obraca się dramat, oto jego motywa, proste jak samo życie, a przecież w najwyższym stopniu szlachetne i oryginalne. Żadnych drastycznych komplikacyj, żadnych zdrad ani przeniewierstw tu niema, Rozalja bowiem, chociaż narażona na pokusy różnego rodzaju: i wstrętne dla siebie, bo tchnące grubą zmysłowością, ze strony Joachima Ruvo, i mniej wstrętne, bo platoniczne ze strony doktora Palunioi, w którego szlachetnem sercu opuszczona kobieta znalazła współczucie i miłość, a w domu przytułek i opiekę, pozostaje jednak wierną obowiązkom uczciwej kobiety zawsze, a stosunek jej z Palunioim, który adoptuje nawet jej córkę, czystym jest i wolnym od wszelkiej zdrożności...

Zbiegły po kilkunastu latach więzienia galernik, pełen tęsknoty do posiadanego niegdyś szczęścia rodzinnego, szuka go znowu, lecz napróżno: poznaje bowiem, że powrót jego ani jemu samemu, ani rodzinie radości nie przynosi, bo sprawia boleść i piętnuje hańbą ubóstwianą żonę, poznaje, że córka, przedmiot ukochany tyloletnich jego snów i marzeń więziennych, jest mu istotą obcą i pozostać nią musi, bo inaczej będzie skazaną na najhaniebniejszą przyszłość. Walka, która ztąd wynika w sercu skazańca, walka wyboru między samolubnem szczęściem własnem a fatalnie z nim związaną niedolą swych bliskich, kończąca się samobójczą śmiercią Corrada nastręcza wiele pola autorowi do kreślenia scen podniosłych, sytuacyj oryginalnych, a prawdziwych.

Pod względem budowy scenicznej dramat Giacomettiego również nie pozostawia nic do życzenia.

Utwór tak skończenie piękny jak *Skazaniec*, mógłby się obejść wcale bez tendencyi, jako dzieło sztuki, samo w sobie zamykające cel i racją bytu. Zdaje się jednak, że tendencja w nim jest i że mieści się ona w słowach, które Paluniri w ostatnim akcie wypowiada, wskazując na martwego już Corrada: „Prawodawcy, patrzcie!“ A sam przez się wynika z tych słów komentarz: „oto ofiara sprawiedliwości ludzkiej!..“

Jeżeli istotnie taką jest tendencja sztuki, to myśl w niej zawarta o ile jest śmiałą, nową i mogącą zyskać szeroką popularność, o tyle zdaniem naszem byłaby w skutkach szkodliwą, prowadzącą na moralne manowce, a nawet fałszywą estetycznie. Miałażby sprawiedliwość ludzka morderstwo, popełnione w chwilach zapomnienia i krewkości, pozostawić bezkarnem? Ileż by to zbrodni innej natury podszywało się pod tę kategorją! Bóg tylko widzi serca i sumienia, człowiek widzi czyn zły, który woła o karę... Inaczej zapatrywać się, jest to rugować porządek społeczny i czynić herezyą moralną.

Gra naszych artystów w *Skazańcu* była bardzo dobrą, stojącą zupełnie na wysokości zadania, na poziomie podniosłego znaczenia dramatu. Pan Rieger w roli tytułowej był artystą w całem tego słowa znaczeniu. Grał ją z takiem uczuciem i mistrzowstwem rozumnego i zarazem natchnionego artyzmu, że gdyby w całej swej karjerze jedną tylką tak skończoną i tak świętym ożywioną ogniem kreacją stworzył, jużby zasłużył na miano niepospolitego artysty, obdarzonego pierwszorzędnym talentem.

Rola Rozalji dziwnie przypada i do postaci, i do rodzaju talentu panny Sułkowskiej. To też gra artystki była od początku do końca najściślej wierną estetycznej i życiowej prawdzie, rzewną, pełną niekłamanego uczucia i łez prawdziwych.

P. Podwyszyński przewybornie interpretował piekielny charakter Ruvo we wszystkich jego najmisterniejszych cechach.

Panna Pysznik, jako anielskie pół-dziecko, pół-podlotek Emma, była nieporównaną. Powierzchowność tej artystki dziwnie się do takich ról nadaje. Widz trwa ciągle w złudzeniu, że ogląda niedorosłą, a taką serdeczną taką dobrą, taką uroczą dziewczynkę!.. Niepodobna sobie przedstawić, zaprawdę roli tej, granej lepiej i artystyczniej!..

P. p. Werner i Zapałowicz mieli role podrzędne, lecz wykonali je bardzo przyzwoicie i sympatycznie, zgodnie z całością przedstawienia.

Drugim, niepospolitym utworem, któryśmy oglądali na scenie naszej był dramat Ohneta *Właściciel Kuźnic* (Le Maitre de forges) dany dnia 19 kwietnia na benefis p. Pauliny Wojnowskiej.

Panna Wojnowska używa u nas opinji utalentowanej w wysokim stopniu artystki i na opinję tę pracą swą długoletnią jak najzupełniej zasłużyła sobie. Jest to rzeczywiście artystka, która służąc wiernie przez lat kilkanaście scenie krakowskiej wyłącznie, jest zawsze jej pożyteczną, niezbędną prawie pracownicą, bo pewien szereg ról, (jak np. wieśniaczek i charakterystyczno-komicznych panien i mężatek) odtwarza prawdziwie po mistrzowsku, a i w każdym innym rodzaju zawsze umie tworzyć kreacje dobre, cechujące artystkę, która rozumnie zastanawia się nad tem co czyni i ma niepośledni zasób zdolności.

Dramat Le maitre de forges przerobionym został przez autora z własnej jego powieści, też samą noszącej nazwę. A chociaż przeróbki takie są zazwyczaj robotami mniej fortunnemi, tu jednak udało się autorowi operacją przykrojenia powieści do formy dramatycznej tak szczęśliwie dokonać, że w ogóle, sztuka odznacza się wzorową architektoniką, artystycznie skończoną harmonją szczegółów z całością. Grzeszy tylko może wprowadzeniem na scenę paru postaci luźnych, które się do akcji nie wcielają i bez których sztuka obejśćby się wcale mogła, jak np. postać starego Notaryusza (p. Stępowski), barona (p. Szymański), a po części nawet i baronowej (panna Ruszkowska).

Treść dramatu jest podobną nieco do *Dwóch Światów* Feuilleta, pod tym względem, że przeprowadza paralelę pomiędzy skarlałą moralnie i podupadłą materjalnie arystokracją rodu, a silnem szlachetnem i pełnem żywotności społeczeństwem pracy. Tylko że u *Feuilleta* ta paralela, wskazująca wyższość pod każdym względem „nowego“ świata nad „starym,“ jest bodaj czy nie jedynym celem i wyłączną tendencją dramatu, gdy przeciwnie w dramacie Ohneta jest ona środkiem tylko, bo cel i tendencja mieści się wyżej i podnioślej nierównie. Szukać ich trzeba w myśli wysoce moralnej, że z takiej świętości jaką jest związek dwóch istot, nie wolno czynić narzędzia zemsty za obrażoną dumę i miłość własną, nie wolno składać na świętym ołtarzu domowego ogniska zamiast iskry miłości zimnej bryły lodu, lub — co gorzej — nienawiści piekielnego zarzewia...

Oto myśl dramatu Ohneta. Czyn ów świętokradzki popełnia córka arystokratycznego rodu de Beaulieu, Klara, względem „właściciela Kuźnic“ Filipa Derbley, oddając mu rękę na przekor swemu ex-narzeczonemu księciu de Bligny, młodemu cynikowi, który ją zdradził ożeniwszy się dla majątku z córką bogatego dorobkiewicza Moulineta, Atenais. Oddaje Klara rękę kochającemu ją nad wszystko szlachetnemu człowiekowi, lecz płaci mu wzgardą i nienawiścią za miłość, za co też nawzajem doznaje obojętności potem przez czas dłuższy od męża, chociaż z czasem przywiązuje się doń z całego serca... I dopiero wtenczas okupuje swą winę, gdy własną piersią zasłania męża od śmierci w pojedynku i krew zań przelewa...

Oczywiście, że tak piękna artystycznie i tak wysoką mająca wartość etyczną sztuka nie mogła nie mieć powodzenia u nas. Miała je w zupełności, nietylko bowiem na pierwszem przedstawieniu lecz i na trzech następnych przepełniła teatr publicznością, która rzęsistemi oklaskami wynagradzała bardzo obrą grę naszych artystów w tym dramacie.

Główne w nim role mają: p. Kałużyńska (Klara) i p. Rieger (Filip). Pierwsza ma tu pole do wykazania wszystkich zalet swojego talentu i rzewności, uczucia, dramatyczności i wzruszającego liryzmu. P. Rieger zaś — z roli Filipa umie zrobić wszystko, cokolwiek dodatniego z tej roli wyciągnąć da się. Gra jego w tej sztuce czyni wogóle jak najkorzystniejsze wrażenie, szczegóły zas scen niektórych (jak np. w akcie II. sceny rozpaczy, gdy Filip dowiaduje się o wstręcie dla siebie swej żony) nastręczają widzom nowy dowód, że p. R. jest artystą wysoce utalentowanym do ról dramatycznych.

P. Frenkel ma komiczną rolę dorobkiewicza Moulineta i oddaje ją tak przedziwnie, że go publiczność osypuje nieustannie rzęsistemi oklaskami.

Panna Sułkowska, jako zalotna i złośliwa Atenais jest zupełnie na swojem miejscu, umiejąc łączyć w sobie z artystyczną prawdą wdzięk i szatańską złość niewieścią.

Panna Wojnowska, jak również panna Ruszkowska, panna Pysznik, p. Szymański, p. Zapałowicz i p. Stępowski mają w dramacie role nieznaczne, które o ile możności dobrą grą podnoszą.

Właściciel Kuźnic powinien być wpisanym stale do repertuaru naszego teatru. *A. Z.*

ZJAZD HISTORYCZNO-LITERACKI.

Zwołany przez członków akademji zjazd historyczno-literacki imienia Kochanowskiego odbędzie się d. 28 do Maja. Podajemy o tym zjeździe wiązkę wiadomości, jaką zebrać zdołaliśmy.

Dnia 28 maja odbędzie się doroczne publiczne posiedzenie Akademji Umiejętności w sali górnej Sukiennic, na którem odczytaną zostanie rozprawa znakomitego badacza literatury Dra Antoniego Małeckiego: Młodość Jana Kochanowskiego (Autor podobno sam nie będzie obecnym w Krakowie).

Tegoż dnia po południu otwartym zostanie zjazd historyczno literacki przemową prof. Tarnowskiego jako prezesa Komitetu gospodarczego zjazdu. Pierwszy referat ma odczytać Dr. Piotr Chmielowski (Jak należy traktować utwory poezji ludowej w historji literatury polskiej).

Dalsze posiedzenia odbywać się będą d. 29 i 30 Maja w tejże sali Sukiennic.—Są zapewnione referaty p. p. Bobrzyńskiego (o wpływie kanonistów i legistów na liter. polit. XVI w.) Chlebowskiego (o różnicach terytorjalnych i etnograficznych w dziejach lit. pols.), Czernego (o wpływie wielkich odkryć geograficznych na oświatę polską XVI. i XVII. w.), Hanusza i Kaliny (kwestje językowe), Morawskiego (wpływ humanizmu niem. i włoskiego na oświatę pols. XV i XVI w.), Pilata (jak wydawać poetów polskich XVI i XVII w.), Rostafińskiego (wpływ życia niemieckiego na lit. XVI w.), Tarnowskiego (o stanie badań w dziedzinie hist. lit. i oświaty), Tomkowicza (o kazaniach średniowiecznych) i Wisłockiego (o podjęciu wydawnictwa biblioteki pisarzów polskich). Referaty te są już wydrukowane.

Posiedzenia zaczynać się mają o godz. 10-tej rano. Dnia 29 wspólna uczta, 30go zamknięcie zjazdu. W teatrze (29) daną będzie «Odprawa posłów greckich» i Fircyk w zalotach Zabłockiego.

«Koło liter. art.» dla członków zjazdu otwiera swój lokal, a dnia 31 Maja ma zamiar urządzić dla gości wycieczkę w okolice Krakowa.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— W Przewodniku naukowym i literackim na wyszczególnienie zasługuje praca p. *Kawczyńskiego*, nosząca nazwę Determinizm i literatura.

— Biesiada literacka drukuje powieść *Grudzińskiego*, noszącą nazwę „Świat i Pustynia“.

— W zeszycie majowym Biblioteki Warszawskiej znajdujemy artykuł: „Posiadłości rodziny Kochanowskich w ziemi Radomskiej podług regestów poborowych z lat 1569, 1576, 1577 zebrał *Witold Małeuszyński*.

— Znakomite tłomaczenia piosnek *P. J. de Berangera* pióra p. Ludwika Kozłowskiego, opuściły prassę nakładem K. Bartoszewicza w Krakowie. Cena 1 złr.

— Nakładem tejże księgarni wyjdzie niezadługo dzieło o prawie karnem znanego kryminalisty Dra *Józefa Rosenblatta*, docenta Uniw. Jagel.

— Broszura „Kraszewski-więzień i Niemcy“ wyszła już w drugiem wydaniu. Cena 30 ct.

— Powieść *Sienkiewicza*: „Ogniem i mieczem“ wyczerpaną już została w handlu księgarskim.

— Dr. *Jan Leniek* wydał monografję: Kongres wyszehradzki 1335. Lwów 1884. Cena 60 ct.

— Ostatni Nr. „Świtu“ przynosi portret matki *Jul. Słowackiego.*

— Wyszedł już pierwszy tom dzieł *J. U. Niemcewicza* w wydaniu K. Bartoszewicza. Tom ten zawiera: powieści poetyczne oryginalne, powieści poetyczne tłomaczone (Pukiel włosów Popego. Co się damom podoba Voltairea) i drobne wiersze.

— *Konkurs dramatyczny* warszawski rozstrzygnięty został. Pierwszej nagrody nikt nie otrzymał, drugą dano p. Felicjanowi Faleńskiemu za dramat 3-aktowy wierszem p. t. „Florynda“, utwór *względnie* najlepszy.

— *Karola Brzozowskiego* „Oblężenie Lwowa“ przedstawione we Lwowie uznała krytyka za utwór wysoce poetyczny. ale wymogom dramatu niezupełnie odpowiadający.

— *W. J. Wdowiszewski* napisał dramat p. t. „Potomkowie senatorów,“ który przedstawiony na lwowskiej scenie, nie przyniósł autorowi sukcesu. Zalety sceniczne małe, satyra na szlachtę galicyjską nie zbyt zręczna.

— *Arcyksiążę Rudolf* postanowił ze współudziałem znanych literatów wydać wielkie dzieło opisujące austrjacko-węgierską monarchię pod względem geograficznym, etnograficznym i cywilizacyjnym.

— W Bibliotece warszawskiej (za maj) znajdujemy nową pracę Dra *Ziemby* o Mickiewiczu (o pobycie Adama w Petersburgu, Odessie).

Widzimy, że prace monograficzne mnożą się bezustannie; bo też krytyczna analiza wpływów i warunków, wśród jakich powstały wielkie dzieła dawnych mistrzów, odnajdywanie najpierwszych źródeł ich natchnienia jest nader użyteczną, mrówczą pracą, absorbującą coraz bardziej pierwszorzędne nawet umysły naszych czasów.

Wieki przyszłe będą może nieraz dziwić się drobiazgowej ścisłości, jaka cechuje poszukiwania naukowe naszej epoki. Jest to niewątpliwie dowodem zmniejszonej samodzielności i osłabienia twórczych sił, nie należy jednakże objawu tego potępiać ani go lekceważyć. Czasy rozwiniętego krytycyzmu nie są, co prawda, produkcyjne, nie obfitują w oryginalne myśli i talenta, nie wytykają dróg nowych, ale ten zastój chwilowy, użyty na skupienie wewnętrzne, na zrobienie sumiennego obrachunku z przeszłością i z siłami, może być niemniej użytecznym i stać się dla przyszłych pokoleń ważną pomocną podstawą i drogoskazem.

— Prof. *Wasilewski* zamieścił w czasopiśmie Le Correspondant obszerną pracę p. t. Marie d'Arquien reine de Pologne. Krytyka franc. pochlebnie wyraziła się o tym nowym przyczynku do dziejów dwóch narodów, których losy i interesa wielokrotnie były splecione. Praca naszego rodaka tem bardziej okazuje się „na czasie“ w obec niesprawiedliwych i niekrytycznych publikacyj historycznych, przez Francuzów, w dzisiejszych czasach kreślonych, (np. owe w r. z. wyszłe w Paryżu studjum dyplomatyczne, oparte na źródłach z archiwum franc. p. t. „Louis XV. et Elisabeth de Russie“ Obszerna ta a nie bardzo gruntowna praca tchnie ku nam nieżyczliwością.

— Curiosum: Herby szlacheckie, 4 tomy przez Joczkiewicza. Warszawa. (Kompilacyjna ta praca prawdziwym jest anachronizmem.)

— Przekład *„Konrada Wallenroda“* na angiels., pióra Dziewickiego, napotkał w Timesie ocenę nader życzliwą. Tłumaczenie to, wierne i piękne, cieszy się w Anglji zasłużonem powodzeniem.

— *„Janko Muzykant“* Sienkiewicza został przechrzczonym na „Janko Muzykant małorosijskij oczerk“ i adoptowanym przez jakiegoś B. P. Przekład ten rosyjski ukazał się w „Niedzieli“.

— Dr. *Czerny Fr.* napisał książkę poświęconą Tonkinowi, a *Boberski* „Powstawanie gór i lodów.

— Wyszła broszurka pani E. S. w Krakowie p. t. Co to jest Rękawka? Autorka broni w niej odbiegłego od tradycji i wstrętnego obchodu.

— Ateneum zamieściło studjum *Chmielowskiego* o powieści: „Ogniem i Mieczem.“ Krytyka Jeża tejże powieści została ukończoną w Przeglądzie Tygodniowym.

— Na półkach księgarskich ukazały się niewydane pisma *Warszewickiego* i dokumenta zebrane i wydane przez T. Wierzbowskiego.

— Nieobojętną zapewne będzie dla coraz szerszego koła wzrastających lubowników języka czeskiego wiadomość o wyjściu Gramatyki tegoż języka przez *Szasteckiego* w Warszawie.

— *T. Wierzbowski* wydał dziełko, noszące tytuł: „Jakób Sobieski“ (Dyarjusz wyprawy wiedeńskiej).

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— Przed kilku miesiącami pierwsi podaliśmy wiadomość o młodym rytowniku polskim *Jasińskim.* Obecnie dzienniki bruxelskie jednozgodnie odzywają się z wielkiemi pochwałami o jego pracach znajdujących się na wystawie w Bruxelli, uważając je za jedną z największych ozdób wystawy, zwłaszcza portret ks. Jerzego Lubomirskiego ma być arcydziełem rytownictwa. Jasiński przed kilku laty uczęszczał do szkół krakowskich.

— *Matejko* ukończył obraz przedstawiający Chrystusa na tle wielkiego czerwono-żółtego serca. U spodu są aniołki, z których jeden ubrany — u góry zaś napisy. Jak widzimy Matejko coraz więcej zwraca się ku średniowiecznym pojęciom o sztuce. W „Dziewicy Orleańskiej“ wystąpią naturalnej wielkości anioły.

— *W. Pruszkowskiego* najnowszy obraz: „Spadająca gwiazda“ przybył już do Krakowa i został wystawiony w „Kole artystyczno-literackiem“.

— *Pani Ludmiła Mikorska* (Teodorowa Jeske-Choińska), żona powieściopisarza i literata, znana dotąd tylko jako śpiewaczka i kompozytorka drobniejszych utworów muzycznych, drukowanych w Lipsku i w Wiedniu, napisała obecnie operę komiczną w 2-ch aktach, dorobiwszy sobie sama libretto z komedji p. t. „Spudłowali“. Znawcy wyrażają się o tej operze, złożonej już na ręce dyrekcji teatrów wasrzawskich, z uznaniem, przyznając jej talent rzeczywisty.

P. *Modrzejewska*, jak donosi „Echo muz. i teatr.“ ma przybyć do Warszawy w sierpniu b. r.

— *Paul. Lucca* i *Mierzwiński* mają odbyć w Listopadzie wycieczkę artystyczną do Warszawy.

— *Gounod* ma pisać studjum o Wagnerze.

— Nowy obraz *Munkacsego* „Chrystus na górze Kalwaryi“ zyskał ogólne uznanie krytyki.

— *Flotow*, sympatyczny kompozytor „Marty“ doczekał się już pomnika dłuta prof. Königa, który mu 26 z. m. wzniesiono w Darmstadzie.

— O operze *Goldschmidta* „Heliantus“ przedstawionej w Lipsku orzekła krytyka, że to dzieło utalentowanego . . . dyletanta.

— Oryginał *Rafaelowskiej „Madonny di Loretto“*, który podczas zajęcia Loretta przez francuzów w początku wieku bieżącego zginął, odnaleziono w muzeum w Hyeres.

† *Fryderyk Smetana*, słynny kompozytor muzyczny, autor opery „Libussa“ zmarł w Pradze.

— Epidemia pożarów teatrów nie przestała grasować. 15 b. m. spłonął do szczętu Stadttheater w Wiedniu.

Do tego Nru dołącza się rysunek J. Styki: Pocieszycielka strapionych.